ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK VI. Nr 24 (260)

LONDYN, 15 CZERWCA 1952 R.

ALEKSANDRA POLESKA

EUROPA SEÑORA DE MADARIAGI

W swej najnowszej książce*) Salvador de Madariaga — wielki pisarz hiszpański piszący po angielsku — próbuje odpowiedzieć na pytanie, czym jest Europa i analizuje elementy składowe — geograficzne, rasowe i psychiczne — europejskiej kultury. Ten wielki obszar ziemi, rozciągający się od Atlantyku aż po Dardanele, wyrzeźbiony tak rozmaicie przez przyrodę, a jeszcze bardziej zróżnicowany przez skłonności psychiczne i charakter mieszkańców, ma jednak jakąś wspólną więź, dostrzegalną przez każdego, kto podróżował od Upsali do Neapolu i od Sewilli aż do Krakowa. „Jedność Europy" nie jest fikcją, wymysłem samych Europejczyków, skoro najgłębiej odczuwają ją właśnie mieszkańcy Nowego Świata. Jako świadectwo służyć może dość dawny film amerykański „The Ghost Goes West".

Pewien milioner amerykański kupił średniowieczny zamek szkocki (wraz z duchem) i przewiózł go na Florydę. Kiedy budynek był już gotów, pokazał go przyjacielowi.

— „Ale skąd kanał wenecki i gondola przy szkockim zamku?" — zapytał przyjaciel.

— „Ah, — odpowiedział Amerykanin — chciałem po prostu spotęgować jeszcze „the European touch" — europejski koloryt lokalny."

Oczywiście najłatwiej byłoby wybuchnąć śmiechem — powiada Madariaga. Jeżeli ktoś jest dobrym Europejczykiem, a nie tylko Szkotem lub Włochem, odpowiedź prymitywnego Amerykanina może stworzyć coś jakby wizję przyszłości. I oto rodzi się wątpliwość. Czy przypadkiem bohater satyry na Amerykę nie posiadał szerszych horyzontów od nas wszystkich, nie wyłączając autora skryptu filmowego? Z perspektywy Florydy kanał wenecki przy szkockim zamku mógł się wydawać rzeczą zupełnie naturalną, podobnie jak my dziś uważamy za naturalny widok gwardzistów szkockich maszerujących w sercu Londynu — widok, który dla Szkota żyjącego w XVI wieku byłby równie absurdalny, jak dla nas gondola przed szkockim zamkiem. Amerykanin znalazł przypadkiem określenie mające jakże głęboką wymowę: „The European touch" — znamię Europy, w najkrótszych słowach formułujące tajemnicę, z którą spotykamy się co dzień, jedność europejską w wielu przebraniach, stworzonych z narodowych odrębności. Jeden wielki wzór, składający się z małych kwadracików, podobnie jak popularne „jig-saw puzzle", gdzie deseń, więcej, sens istotny powstaje za pomocą dokładania małych cegiełek na pozór bez planu, aż wyłoni się obraz, którego wszystkie części składowe, gdy pomiesza się je znowu w pudełku, nosić będą wyraźne „podobieństwo rodzinne".

Na czym polega jedność Europy? W dziedzinie psychologicznej przede wszystkim na wspólnocie odczuwania. W czasie ostatniej wojny w kolejce podziemnej Londynu autor spotkał starą, bezzębną kobietę, odzianą w łachmany, która powiedziała z dumą: „dzisiejszej nocy zbombardowaliśmy Berlin". To „my" — słowo mistyczne, wyrażające zbiorową świadomość, stanowiło jakby zaklęcie, dzięki któremu istota na najniższym szczeblu społecznym mogła dzielić wielką przygodę wojenną z innymi. Każda grupa ludzka, narodowa czy cywilizacyjna powstaje wtedy, gdy ludzie zdolni są odczuwać i myśleć w kategoriach „My" i „Nasze".

Najbardziej charakterystyczną cechą kultury europejskiej jest wielkie zindywidualizowanie jej typów psychicznych. Różnicowanie jednostek ludzkich jest „wynalazkiem" naszego kontynentu. Stąd sukces religii chrześcijańskiej, która przyszła wprawdzie spoza Europy, ale przyjęła się najszybciej na europejskiej ziemi. Chrześcijaństwo, uważające jako podstawę swego programu społecznego fakt „boskości" każdego poszczególnego człowieka i uznające godność każdej jednostki ludzkiej, nawet najmizerniejszej, natknęło się na kształtujący się nurt psychiczny, ceniący ponad wszystko indywidualność. Odtąd myślenie europejskie zamykać się zawsze będzie w kategoriach „człowiek jako absolutnie ważna jednostka", dla której tworzy się instytucje społeczne, a nie na odwrót. Oczywiście w ciągu historii często odchodzono od tej zasady, ale zawsze w sensie odstępstwa, a nigdy reguły. W tym instynktownym respekcie przed ludzką osobowością widzi Madariaga zasadniczą różnicę między Europą i Azją. Ostatecznym wyrazem azjatyckiej psychiki jest duch „stadności" społecznej. Poszczególny człowiek nie ma tam żadnego znaczenia — wszystkim jest i o wszystkim decyduje masa. Dlatego Rosja, pomimo swego wielkiego wkładu w dziedzinie na przykład literatury, w pełnym słowa znaczeniu do Europy nie należy. Drugą cechą, wyraźnie odcinającą nas od Azji jest brak zainteresowania kontemplacją i w ogóle zdolności w tym kierunku u Europejczyków. Wyrazem naszej indywidualności jest podświadomy pęd do czynu raczej — obojętnie, indywidualnego czy zbiorowego — niż do rozmyślań. Nie znaczy to zresztą wcale, aby Europa nastawiona była anty-intelektualnie, przeciwnie posiada ona sceptyczny i dociekający „sokratyczny" umysł, ale najważniejszym rysem jej charakteru jest wola działania.

Niezwykłym urokiem kultury europejskiej jest różnorodność w jednolitości. Podobnie jak kiedyś Henry Jamesa pasjonowało wykrywanie i ukazywanie różnic psychicznych jednostek należących do różnych ras w zasięgu cywilizacji zachodniej, a Conrada nawet poza kręgiem tej cywilizacji, tak i Madariagę pasjonuje zderzenie się indywidualności reprezentujących różne narody. Oto anegdota charakteryzująca w sposób najbardziej lapidarny reakcje trzech ludzi pochodzących z różnych krajów europejskich.

W pewnym sklepie w Sewilli dwie dziewczyny andaluzyjskie wyśmiewały się głośno z ekscentrycznie ubranej kobiety. Obecni byli przy tym Anglik i Francuz. Brytyjczyk podszedł natychmiast do dziewcząt i powiedział, co myśli o ich zachowaniu. Kiedy w jakiś czas potem siedząc w cieniu popijali Manzanillę, Francuz powrócił do incydentu:

— „Wymyślając, zachował się pan w gruncie rzeczy w taki sam sposób, jak te dziewczęta. Widzi pan, to są Hiszpanki, które ponad wszystko kochają piękno, a każdego, kto grzeszy przeciw pięknu, karzą na swój sposób. W tym wypadku karą był śmiech. Pan jest Anglikiem i dlatego interesuje pana przede wszystkim kwestia zachowania form. Ktokolwiek łamie obowiązujący kodeks postępowania jest przez pana karcony, tutaj karą była admonicja. Ja jestem Francuzem i dlatego moje zainteresowania leżą w dziedzinie rozumienia rzeczy. Ja więc z kolei karzę każdego, kto nie pojmuje. Jedyną zaś karą przy takiej okazji jest pouczenie — mam nadzieję, że pan się nie obrazi."

Ponieważ Madariaga sam jest pisarzem, więc oczywiście najwięcej miejsca przy omawianiu dorobku kulturalnego Europy poświęca literaturze i wtedy jest najbardziej interesujący. Gdy mówi na inny temat, chociażby o muzyce, odnosimy wrażenie, że słuchamy wywodów sympatycznego miłośnika koncertów, ale nie człowieka, który by miał coś naprawdę ciekawego do powiedzenia. Natomiast w dziedzinie intepretowania literatury na tle charakteru narodowego Madariaga jest wspaniały i niezrównany. Niestety, brak miejsca nie pozwala na szersze zacytowanie jego wywodów; musimy się ograniczyć tylko do dwóch, bodaj najpopularniejszych postaci literatury: Hamleta i Don Kichota.

Analizując w sposób niesłychanie subtelny tych bohaterów piśmiennictwa łacińskiego i angielskiego autor wykrywa trzecią charakterystyczną cechę europejskiego typu psychicznego: wieczne poszukiwanie harmonii między zbiorowym życiem społeczności a życiem jednostki. Nie wszystkim narodom dotąd udało się ją stworzyć, ale próbowanie rozwiązania tego problemu jest jedną z najliczniejszych pobudek twórczości od najdawniejszych czasów. W świecie nowoczesnym jedynie może Anglia zbliżyła się do mety, ale stało się to za cenę rezygnacji z dużej części uroku życia osobistego, na co nie zgodziłby się nigdy przedstawiciel rasy łacińskiej. Każdy Anglik „jest w jakiś nieuchwytny sposób Anglią", jest jednak za to bez chwili przerwy obserwowany nie tylko przez siebie samego, ale także przez swoich współplemieńców. W tym tkwi tragizm Hamleta, nie mogącego znieść zbyt wielkiego nacisku środowiska, a równocześnie nie umiejącego znaleźć ucieczki od tej presji.

Don Kichot jako wyraziciel wiecznego ducha Hiszpanii jest doskonałą antytezą Hamleta. Gdy Hamlet cierpi na nadmiar zainteresowania otoczenia, skierowanego w jego stronę, Don Kichot ginie z braku jakiejkolwiek ludzkiej reakcji, z braku jakiegoś własnego środowiska, mogącego mu dorównać. W rezultacie, aby zaludnić otaczającą pustkę, zaczyna zamiast żywymi ludźmi zapełniać świat marami swej wyobraźni. Obie postacie są na swój sposób głęboko tragiczne. Są też najlepszą ilustracją tezy, że znalezienie równowagi między życiem osobistym a życiem społecznym jest jednym z najbardziej trudnych i stale żywych problemów, periodycznie nawiedzających europejską świadomość.

Przy końcu książki znajduje się rozdział zatytułowany: „Irlandczycy, Polacy, Hiszpanie". To zestawienie Polaków z Irlandczykami podobałoby się może Chestertonowi a i dalszy ciąg wywodu zyskałby może jego uznanie. Madariaga twierdzi, że te trzy narody — z których dwa żyją w pobliżu Atlantyku, od którego idą jakieś rozmarzające powiewy, a trzeci na krańcach Europy — mają ze sobą jedną cechę wspólną — „their familiarity with the absurd" — to, że są za pan brat z absurdem. Zetknięcie się z przedstawicielami tych narodów jest zawsze ożywcze, tak jakby ktoś otworzył okno pokoju, zatrutego toksynami rozsądku i zmaterializowania. Fundamentem takiej postawy „za pan brat z nonsensem" jest absurdalny stosunek do rzeczywistości oraz wyrosła na tym tle przewaga indywidualności ponad zbiorową świadomość, jakieś wielkopańskie odrzucenie objektywizmu, jeśli nie odpowiada on osobistym wyobrażeniom o świecie. Jako przykład podaje słynnego uczonego Hiszpana, który zakutany po uszy przechadzał się pewnego razu po parku. Gdy ujrzał termometr, wskazujący bardzo wysoką temperaturę, popatrzył nieżyczliwie na żyłkę rtęci i wycedził: „dziś jest zimno, bez względu na to, co mówi termometr". Przypomina to znaną anegdotę o Piłsudskim, który podobno nigdy nie chciał przyznać, że Daszyński był w legionach. Ktoś przyniósł fotografię przedstawiającą jego samego, kiedy rozmawia z Daszyńskim w mundurze legionisty. Piłsudski miał popatrzeć na fotografię i powiedzieć: „a jednak Daszyński w legionach nie był".

Ten swoisty stosunek do świata widzialnego stwarza u Hiszpanów, Polaków i Irlandczyków jeszcze jeden wspólny rys charakteru: kategoryczna odmowę zaprzestania walki, nawet jeśli wiadomo już, że sprawa jest beznadziejnie przegrana. Poza tym oczywiście każdy z tych narodów hoduje swój specyficzny rodzaj nonsensu. Hiszpan — i znów Don Kichot służyć może za przykład — uważa na serio że świat wygląda dokładnie tak, jak stworzyła go jego wyobraźnia. Jeżeli przypadkiem uderzy głowa w ścianę rzeczywistości, to zamiast rozcierać własnego guza pokiwa głową litując się nad światem, który zachowuje się w sposób nieobliczalny. U Polaka zamiłowanie do absurdu ma w sobie więcej jeszcze gestu i wielkopańskości. Pióropusz musi być, nawet jeśli zabraknie jedzenia i ubrania. Pewna piękna Amerykanka, która „zanim stała się węgierską hrabiną, była polską księżna" opowiadała Madariadze następującą anegdotę.

Rzecz dzieje się na week-endzie w domu jakiegoś księcia w Polsce. Wieczorem służący wręczył Amerykance maskę, latarnię i kij. „Po co to wszystko?" — „Madame — odpowiedział służący — ubikacje są na końcu ogrodu." „Rozumiem po co latarnia, ale kij?" — „Można spotkać psa..." „A maska?"... „Można spotkać kogoś z gości"...

I Madariaga tak komentuje to rzekomo autentyczne zdarzenie: „Czyż bym się mylił, że ta historyjka jest typową dla tego rodzaju nonsensu, który kwitnie w Polsce? Posiada ona cechy charakterystyczne dla Polaków, ich dystynkcję, utrzymanie dystansu i odrobinę impertynenckiej pogardy, którą wyczytać można w uśmiechach spotykanych Polaków, uśmiechach najbardziej może niezrozumiałych i tajemniczych spośród tych, które kwitną w ogrodzie Europy. Uśmiech ich mówi o pogardzie tego narodu do wszystkiego co prozaiczne, codzienne, naturalne. Mówi też o pogoni za wartościami absolutnymi, dalekimi, nierzeczywistymi. I ilustruje może najlepiej tragiczną niezdolność tych ludzi do życia dla kraju, dla którego w tak wspaniały sposób potrafią umierać".

Za trzy najbardziej inteligentne narody w Europie Madariaga uważa Francuzów, Niemców i Włochów. Francuzów za ich zamiłowanie do logicznego rozumowania i dbałość o formę, Niemców (o których zresztą wyraża się z ledwo ukrytą niechęcią) za zdolności w dziedzinie muzyki i filozofii, Włochów za intuicję w stosunku do piękna. Jest to jednak przywilej niebezpieczny, bo chociaż inteligencja w organizmie psychicznym człowieka gra rolę przewodnika duchowych wartości, to jednak człowiek specjalnie inteligentny jest zawsze w niebezpieczeństwie, że z powodu doskonałości swojego życia intelektualnego zostanie skazany na zanik sił twórczych. Jako konieczny kontrast i uzupełnienie znajdują się jednak na szczęście w Europie trzy „narody szalone", które przez sam fakt swego szaleństwa ratują inteligencką trójkę od wyjałowienia. Te narody to Rosja (z racji swego dziedzictwa mongolskiego nie należąca w pełni do Europy), Hiszpania i Anglia. Rozróżnienie między narodami „szalonymi", a „absurdalnymi", o których mowa była poprzednio, wygląda tak: narody „szalone" swoją irracjonalną postawą otwierają wielkie perspektywy intuicyjne, zaś narody zakochane w absurdzie odświeżają aurę psychiczną przez upartą walkę z rozsądkiem. Hiszpania należy do obu tych grup.

Anglicy kultywują szaleństwo które u nich przybrało nazwę „hobby", jako ucieczkę od codziennego objektywizmu. Jednak to swoje zbiorowe i indywidualne szaleństwo potrafią zawsze podporządkować rzeczywistości i dlatego są na ogół szaleni tylko częściowo, podobnie jak Hamlet, który powiada w II akcie dramatu: „Szalony jestem tylko przy wietrze północno-zachodnim. Kiedy z południa wieje, umiem odróżnić jastrzębia od czapli".

Szwajcaria wciśnięta między trzy najinteligentniejsze narody nie miała wyjścia, jak pójść jeszcze o krok dalej. Jest ona, według autora, symbolem intelektu z racji swego narodowego zawodu. Robienie zegarków wymaga absolutnego skupienia i jest najbardziej precyzyjnym zajęciem na świecie. Kto wie, czy nie dlatego sukces Kalwina był w Szwajcarii tak wielki, że w psychice Szwajcarów istnieje jakaś ukryta sprężyna podobieństwa między ich zamiłowaniem do dokładnej pracy i dobrze zorganizowanego życia, a wiarą w predestynację. Bóg w ich wyobraźni jest na pewno podobny do doskonałego zegarmistrza, który wszystko od początku świata mądrze przewidział i zaaranżował, bez żadnych niespodzianek, w które na przykład obfituje życie katolika, mogącego przez akt żalu uciec od piekła nawet w ostatniej chwili...

Wiele można wybaczyć autorowi „Portretu Europy" za takie błyskotliwe igraszki intelektualne, jak powyższe sformułowanie. Nawet pewna lekkomyślność, zbyt łatwe generalizowanie czasami nawet może poświęcenie całej prawdy na rzecz szybkiego paradoksu lub zgrabnego dowcipu zostaje wynagrodzone przez olbrzymi ładunek myślowy i uczuciowy, jaki zawarł w ramach swojej książki. Jego błyskawiczna podróż po Europie odbywa się zawsze pod słońcem prawdziwej miłości i życzliwości do ludzi ją zamieszkujących. Trudno nie wybaczyć staremu liberałowi pewnych drastycznych nawet przerysowań w imię miłości Europy do której wzywał na konferencji w Hadze tymi słowy:

„Ponad wszystko na świecie musimy kochać Europę, naszą Europę rozbrzmiewającą gromkim śmiechem Rabelais, błyszczącą dowcipem Woltera. Na której intelektualnym niebie jaśniały płomienne oczy Dantego, chłodne oczy Szekspira i udręczone Dostojewskiego. Tę Europę, dla której Gioconda chowa swój wieczny uśmiech, dla której żyć będą na zawsze Mojżesz i Dawid Michała Anioła, a geniusz Bacha osiąga szczyty intelektualnej harmonii... Europę, której katedry według słów Musseta padają na kolana, aby modlić się w swych szatach z kamienia, gdzie rzeki jak srebrne nici łączą miasta — klejnoty wyrzeźbione w krysztale przestrzeni dłutem czasu... Europa musi się narodzić. A stanie się to wtedy, gdy Hiszpanie będą zdolni powiedzieć „Nasze Chartres", Anglicy „nasz Kraków", Włosi „nasza Kopenhaga", a Niemcy „nasze Bruges". Wtedy dopiero Europa zaistnieje i będzie żyła, bo tylko wtedy duch historii powie te twórcze słowa: „Fiat Europa".

Aleksandra Poleska

*) „Portrait of Europe" — Salvador de Madariaga, Hollis & Carter, 1952.

ŚW. ELŻBIETA OD TRÓJCY ŚW.

MODLITWA

O Boże mój, Trójco, którą wielbię,
Bądź mi pomocą ku zupełnemu zapomnieniu,
abym utrwaliła się w Tobie stateczna i pełna pokoju,
jak gdyby dusza moja tkwiła już w wieczności.

By nic nie mogło zmącić mego pokoju, ani zmusić mnie,
bym Cię opuściła, o mój Niezmienny, —
lecz aby każda chwila porywała mnie coraz dalej
w głąb Twej Tajemnicy.

Uspokój duszę moją, uczyń z niej niebo Swoje,
przybytek ulubiony i miejsce odpoczynku Swego.
Bym Cię tam nigdy nie zostawiała samego, lecz
bym tam przebywała całkowicie, czujna w wierze,
uwielbiająca Cię i oddana Twoim czynom Stwórcy.

Chryste mój ukochany, przez miłość ukrzyżowany,
chciałabym Cię okryć chwałą,
chciałabym Cię tak ukochać, abym w miłości tej
znalazła śmierć.

Ale czuję niemoc moją i proszę
przyoblecz mnie Sobą i złącz duszę moją z każdym
drgnieniem duszy Twojej i zatop mnie i pochłoń
i przeniknij mnie tak, by życie moje było tylko
odblaskiem Twojego życia.
I wejdź we mnie jako Wielbiciel i Odnowiciel
i jako Zbawca.

O Słowo przedwieczne, które przychodzi od Boga mego.
Chcę przepędzić życie moje na słuchaniu Ciebie.
Chcę stać się tak pojętna, abym od Ciebie wszystkiego mogła się nauczyć.

A potem przez wszystkie noce, pustki wszystkie, przez
wszystkie niemoce chcę się zawsze wpatrywać w Ciebie,
tkwiąc w Twojej wielkiej Jasności.

O Gwiazdo moja ukochana, uwięź mnie, abym
nie mogła już wyjść z kręgów blasku Twojego.

Ogniu trwający, Duchu miłości, wstąp we mnie,
aby w duszy mej spełniło się jakby Wcielenie Słowa.
Abym się Jemu stała dalszym ciągiem człowieczeństwa,
w którym Ono ponawiałoby swoją Tajemnicę.

I Ty, Ojcze, nachyl się ku swojemu biednemu, małemu
stworzeniu i chciej widzieć w nim tylko umiłowanego,
w którymeś Sobie wielce upodobał.

O Trójco moja, Wszystko moje, Błogości moja,
Samotności nieskończona, o Bezmiarze, w którym gubię się,
Oddaję się Wam w ofierze.
Ukryjcie się we mnie po to, bym mogła ukryć się w Was
w oczekiwaniu oglądania w Waszym Blasku
otchłani Waszych Ogromów.

Przełożył
Bronisław Przyłuski

SEKCJA POLSKA KONGRESU W BARCELONIE

(Od własnego korespondenta)

Pielgrzymki polskie na XXXV Kongres Eucharystyczny w Barcelonie przybyły z Anglii (najliczniejsza), Belgii, Francji, Holandii, Hiszpanii, Niemiec, Rzymu, Szkocji, Szwajcarii i Włoch. Pielgrzymkom towarzyszyli liczni księża. Na Kongres przybyli m. i. J. E. Ks. Biskup Józef F. Gawlina, Protektor Polskiego Uchodźstwa, ks. Władysław Mroczek, generał zgromadzenia ks. ks. marianów z Rzymu, ks. infułat Bronisław Michalski, naczelny kapelan polskich obozów w Wielkiej Brytanii, ks. prałat Edward Lubowiecki, wikariusz generalny ks. biskupa Gawliny dla Polaków w Niemczech, ks. prałat dr Walerian Meysztowicz z Rzymu, ks. kanonik dr Ludwik Bombas, rektor polskiej misji katolickiej w Szkocji, ks. Karol Kubsz, rektor polskiej misji katolickiej w Belgii, o. Maria Efrem, kapucyn, rektor polskiej misji katolickiej w Holandii, ks. Florian Kaszubowski, redaktor „Polski Wiernej" z Paryża.

Wśród pielgrzymów znaleźli się: gen. Anders z Anglii, p. Potocki, min. pełnom. R. P. w Hiszpanii, p. Piskorski, przedstawiciel Rady Polonii Amerykańskiej na Europę (Genewa), ks. Stefan Bernaś, dyrektor War Relief Services - NCWC na Niemcy i Austrię.

Polacy stanowili na Kongresie osobną sekcję, która miała osobne nabożeństwa codzienne i dwa razy dziennie zebrania, na których wygłaszano odczyty. Polakom przydzielono na nabożeństwa na czas Kongresu kaplicę de Ensenanza przy Calle de Aragon.

INAUGURACJA SEKCJI POLSKIEJ KONGRESU

We wtorek dnia 27 maja 1952 r. tuż przed oficjalnym otwarciem Kongresu Eucharystycznego w Barcelonie miała miejsce inauguracja Polskiej Sekcji Kongresowej. W kaplicy de Ensenanza przy Calle de Aragon zebrali się polscy pielgrzymi, przybyli z różnych krajów na uroczystości barcelońskie. Wprost z lotniska przyjechał do kaplicy przybyły z Rzymu ks. Biskup Józef F. Gawlina. Po przywitaniu ks. Biskupa przez ks. dra Mariana Walorka, rektora polskiej misji katolickiej w Hiszpanii, ks. Biskup wygłosił do zebranych przemówienie, w którym między innymi powiedział:

W dawnych latach, w czasach zaborów, kiedy Polska ciemiężona była przez trzech zaborców, przecież nie broniono Polakom brania udziału w światowych Kongresach Eucharystycznych, jakie odbywały się przed pierwszą wojną światową. Udział Polaków w tych Kongresach bywał bardzo liczny. W okresie naszej niepodległości pielgrzymki polskie na Kongresy Eucharystyczne (m. i. w Amsterdamie 1924 r., Kartaginie 1930 r. i wreszcie w ostatnim Kongresie przed drugą wojną światową w Budapeszcie w 1938 r., na którym przewodniczył kard. Eugeniusz Pacelli, obecny Papież) były jednymi z najliczniejszych. Cóż za różnica z dniem dzisiejszym! Żaden z Polaków nie mógł przybyć na obecny Kongres z Kraju, skąd obecnie nikt nie może się udać nigdzie, gdzie ludzie wierzący w Boga zbierają się razem, by wspólnie dać wyraz swojej wierze i umiłowaniu Jezusa, utajonego w Najświętszym Sakramencie Ołtarza.

Ks. Biskup Gawlina przypomniał zebranym o naszych świętych rodakach, którzy mieli szczególne nabożeństwo do Eucharystii, wśród których byli św. Jacek i św. Stanisław Kostka. Wspomniał też dostojny kaznodzieja o Jagielle pod Grunwaldem i o Janie Sobieskim pod Wiedniem, jak oni czcili Najświętszy Sakrament, słuchając Mszy świętej przed bitwami. I z czasów najnowszych, z ostatniej już wojny, kiedy spadochroniarze różnych narodowości, zrzucani w krajach okupowanych przez Niemców zabierali ze sobą szybko działającą truciznę na wypadek wykrycia ich przez wroga, by uniknąć tortur i męki, to Polacy nie truciznę zabierali ze sobą, lecz Komunię świętą, by w chwili niebezpieczeństwa, kiedy śmierć zagładnie im w oczy, Eucharystia dała im siłę, spokój i opanowanie. A kiedy polski żołnierz stanął pod Monte Cassino w 1944 roku, to nim tam rozgorzała straszliwa bitwa, nasi żołnierze od strzelców do dowódcy Korpusu wszyscy przystąpili do Komunii i z Bogiem w sercu poszli zdobywać nie zdobytą dotąd przez nikogo klasztorną górę i Bóg dał nam zwycięstwo.

Patrzcie na Kraj — powiedział w końcu ks. Biskup — patrzcie, jak w Polsce adorują Polacy Najświętszy Sakrament! Wiedzą bowiem oni dobrze, że w Eucharystii ich nadzieja, ich siła i moc! I módlcie się — wezwał ks. Biskup obecnych — módlcie się prosząc Boga utajonego w Najświętszym Sakramencie, by swoją szczególną opieką otoczył tych, których w Kraju uwięziono, których poddaje się męce i torturom. Niech ich cierpienia i nasze gorące błagania zdołają wyjednać u Boga wolność dla naszego Narodu i niech sprawią, by jeden z najbliższych Eucharystycznych Kongresów odbył się w naszej wolnej Warszawie, kiedy nareszcie prawdziwa wolność i prawdziwy pokój staną się udziałem naszej Ojczyzny.

Błogosławieństwem Najświętszym Sakramentem zakończyło się pierwsze kongresowe polskie nabożeństwo, a jednocześnie dało początek pracom kongresowej Sekcji Polskiej w Barcelonie.

MARIA CZAPSKA

TAKI RÓD

Szczupła to była gromadka sług Bożych, skupiona wokół kościoła św. Medarda i tamtejszego polskiego księdza, ale wierna. W jej liczbie były panie, które w złe lata nie miały nieraz na obiad i były te „do wszystkiego", bardziej uparte w przeżyciu, dziedzicznie przezorniejsze i obdarzone instynktem ptaków wędrownych, który pozwalał im nie zbłądzić w milionowym, obcym wieście i trafić gdzie trzeba nawet bez języka.

Najstarsza z nich, z której zda... i nie tylko się liczono, ale której sądu się lękano, była Maria Sikora, licząca lat 70, a od lat blisko trzydziestu zamieszkała w Paryżu. Dzięki wiekowi przysługiwała jej drobna emerytura i klitka na poddaszu, w końcu długiego korytarza na trzecim piętrze hoteliku, przy ulicy Mouffetard; tej klitki trzymała się Sikora jak ptak gniazda. Stało tu łóżko żelazne, stolik z ołtarzykiem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, stołek, miednica na kuferku — to wszystko. Na haku wisiało jeszcze czarne, odwieczne „sakpalto" i słomiany kapelusik, „klosz" niegdyś pewno czarny, ale od starości zzieleniały. W skośny sufit z desek była wbudowana kwadratowa framuga czegoś w rodzaju kominu ze trzy metry wysokiego. Jednoszybowe okienko zamykało ten komin, po którym biegł drut do otwierania i zamykania szklanej klapy. Drut ten jednak urwał się albo obluzował u samej góry; okienko było więc stale zamknięte, przysypane kurzem i sadzą. Jedyną wentylacją klitki był więc korytarz, na który wychodziły drzwi innych pokoi z podobnymi kominami zamiast okien.

Jadła Sikora to, co jej kto przyniósł, najchętniej bułkę rozmoczoną w mleku, lubiła też kiszkę albo pasztet wątrobiany, bo nie miała zębów; coś też gotowała na spirytusowej maszynce, ale nie zawsze miała spirytus. Książek tu nie było, bo Sikora nie umiała czytać, ale na gipsowym posążku Matki Boskiej wisiał stary czarny różaniec.

W kwadratowej twarzy, skróconej brakiem zębów i pociętej kilku prostymi zmarszczkami świeciły żywe oczka, o bacznym spojrzeniu; włosy rudawe, omal nietknięte siwizną. Dla tych, którzy zasłużyli na jej zaufanie — mówię o kobietach, bo mężczyzn nie wpuszczała do swojej izdebki, ani nawet na próg — odsuwała niekiedy stół z ołtarzykiem, lampką i wazonikami, odgarniała róg serwety i wyciągała spod niej najpierw wyciętą z jakiegoś kolorowego pisma podobiznę angielskiej pary królewskiej. Siedzieli oboje w karecie, uśmiechnięci uprzejmie. Zdjęcie robione chyba w czasie pierwszej wizyty królestwa w Paryżu, przed samą wojną.

— Przechowałam to przed Niemcami, wyznawała z dumą zaufanym. Nawet tu żaden nie zajrzał, nie domyślili się!

Druga pieczołowicie strzeżona pamiątka, to była fotografia grupy dziewcząt w białych sukniach i welonach, z medalami na wstążkach u szyi w otoczeniu kilku zakonnych kornetów.

— Panienka jestem, oświadczała z wielką powagą i Dziecko Marii! (wskazywała przy tym jedną z postaci białego szeregu), a mówiła to w tonie, z jakim inna wyznałaby, że jest księżniczką krwi: z godnością i dumą.

Zapewne znała proroctwo Apokalipsy o stu czterdziestu czterech tysiącach, które chodzić będą za barankiem, gdziekolwiek pójdzie „bo dziewicami są, bez zmazy przed stolicą Boga". Dziewictwo było jej klejnotem, ufała, że ono zapewni jej na wieczność miejsce po prawicy Baranka, że nie minie ją to wyróżnienie w owym lepszym świecie.

* * *

Wyjątkowe upały ciążyły tego roku nad miastem. Od połowy lipca liście zwijały się na drzewach jak od ognia, domy gorzały pod blaszanymi dachami a nogi więzły w asfalcie ulicy.

— Sikora umarli! — oznajmiła Magda zalterowanym głosem, wpadając pod wieczór znojnego dnia do Biblioteki. Pot kroplisty występował na jej pobladłą ze zmęczenia i zwiędłą twarz; ocierała go dużą białą chustą, rozłożoną na dłoni.

— Idę ja po schodach, było to w sobotę i spotykam tę dziewczynę, Helenę, mówi: Idźcie, idźcie! Sikora umiera! Idziemy, a tu drzwi zawarte. To my ino buchły w te drzwi — ustąpiły i widzimy, leży na ziemi i mokrą szmatę przykłada do głowy. „Magda niech przyńdzie, powiada, co ma córkę, Magda!" — Ano to jezdem! mówię, Magda! „Nie Magda, pada, to nie Magda!" To my widzim, że źle, i do saku szukać pieniędzy, a tu same grosze!... Ale nie, jest coś na stoliku, musiał ktoś położyć. Chwała Bogu! — myślę — coś się dołoży i będzie na dwie msze. A ona Sikora, to ino się tak podrywa, jak bocian z gniazda, ale wstać nie może. Chcieli my ją położyć na łóżko, to nie dała. „Idźta już — pada — i niech będzie spokój!"

— To chyba była apopleksja — zauważyła jedna z pań.

— Ale gdzie! żadna tam... jak pani mówi? — Noga jej się musiała zemknąć i tak się obaliła głową o podłogę, a podłoga kamienna. — Możebne że się tyż zatruła, bo okna nie otwierała, a gotowała na jakichsi papiórkach i wiórkach, żeby nie palić spisytusu, to i tym smrodem mogła się zatruć. Inaczej to by żyła jak ojciec. Magda zrobiła pauzę i otarła znów twarz chustą starannie, jak z wody, potem też szyję aż za kołnierz. — A patronka mówi: choć która z was niech zostanie, póki doktór nie przyńdzie... (bo już dzwoniła na nagłą pomoc, po ambulans). Ale u mnie w domu akurat dziecko córka przyniosła i groch na ogniu, ani dziecka ostawić, ani odejść... No to ta druga się wróciła, choć ze strachem, że to będzie sama przy konającej. Ambulans przyjechał dopiero po północy, do szpitala powieźli, na Wyspę, a w południe, znaczy dziś już nie żyła. Siostra Antonina była przy niej. Chcieli ciało spalić, ale Siostra nie dała, wszystkie potrzebne papiórki wyrobiła; jutro pogrzeb w naszym kościele, panie przyńdą?

Ładny miała Sikora pochówek z nabożeństwem, od miasta go miała, miasta Paryża. W kościele zebrało się ze dwanaście osób, były dwie siostry szarytki, nawet trochę kwiatków, a na sam cmentarz, na Ivry, to pojechało aż 5 osób. Ciasno na tym cmentarzu — powiada Magda — jak w jakim składzie towarowym. Rów przekopany, szeroki i kładą tamoj trumnę przy trumnie rzędem...

— Ano tak — kończyła Magda pogodnie swoją relację, każdy musi umierać. Wieczne jej odpoczywanie!

Kwadratowe okienka paryskich poddaszy jarzyły się łuną. Słońce zapadało już za czarne domy i las kominów.

* * *

Urodzona była Marysia Sikora na wsi gdzieś koło Rzeszowa; kilka morgów i sadzik koło chaty, grusze to były. Ojciec jeździł co roku do „Gdanii" na roboty, ale dzieci było siedmioro — bieda. Ksiądz proboszcz obiecał matce, że znajdzie we Lwowie dobrą służbę dla najstarszej, liczyła piętnaście lat. Miał interes w Namiestnictwie i zabrał ją, jak obiecał; jeszcze mszy św. wysłuchała a ksiądz dał jej nawet śniadanie: potem pojechali.

O tej pierwszej służbie opowiadała Marysia z lubością: wszyscy znali tę opowieść; powtarzała ją jednak, ilekroć kto chciał słuchać, bo była to służba u hrabiów Skrzyńskich, na ulicy Sykstuskiej. Tą służbą chlubiła się wobec innych dziewcząt, które znały tylko pracę na fermie albo w mieszczańskich, paryskich domach, a to było u hrabiów. Zbytek pańskiego domu po chacie ojcowskiej olśnił dziewczynę jak bajka czarodziejska i do końca życia trwała pod urokiem ulicy Sykstuskiej.

„Hrabia — opowiadała Sikora — jadał zwykle w Resursie, a w domu gotował kucharz w capicy. Z Widnia był ten kucharz, zaś lokaj to robił serwis we fraku i białych rękawiczkach. Była też panna służąca, co ubierała i rozbierała hrabinę, czesała ją i fryzowała rurkami, prasowała sukienki i krochmalone halki. A panicz był tylko jeden; przychodzili do niego guwernerzy, żeby się w szkole nie zepsuł. W niedzielę zaś, to sama Pani Hrabina prowadziła go na mszę.

„Ja byłam od ścierek i od zmywania rondli; nieraz zmywałam do późna, ale jak tam jadłam! Ta panienka, służąca, to była nabożna i lubiła mnie, to jeszcze mnie ze swego dawała, bo jej lokaj nosił osobno, po państwie; ja to brałam w kuchni, co było dla ludzi, a kury i lody od niej.

„W obiad to było 12 dań, a kucharz wszystko stroił na półmiskach, to listkami, to znów wystrzyżonymi papierkami albo i marchewką w gwiazdki — bo był z Widnia.

„Ale po kilku miesiącach państwo wyjechali za granicę i zwolnili mnie.

„Wtedy poszłam do innej służby, na Pańskiej, kole Bernardynów i o 6, jak zwykle, pobiegłam na mszę. Ale jak pani dowiedziała się, że wyszłam bez pozwolenia żadnego, to mnie w twarz za to uderzyła. Potem omiatając dywan, na kolanach, łzami kropiłam ten dywan i modliłam się: „Któryś za nas cierpiał rany..." To była moja adoracja...

„Mamie to nigdy nie mówiłam, ani nie pisałam, że mi źle, bo by płakała...

„A potem to już brałam służby od św. Zyty, od Stowarzyszenia, bo św. Zyta tyż była służącą, służyła u jednej hrabiny i bardzo ją ta hrabina poniewierała. Potem wielkie cuda działy się na jej grobie, a Papież ogłosił, że była święta.

„Tak jest — zamyślała się — całe moje życie to była praca i kościół. Nic innego. Żadnego chłopa — nigdy. Wprzód Lwów, a potem Strasburg, fabryka pod opieką sióstr z Patronażu, a potem Paryż, służby różne i starość.

— Taka pani wierna.

„Nie chwalący... Taki charakter. Po mamusi. Bardzo była nabożna i ojca przerobiła — cierpliwością. Bo jak widzi pani, jestem prosta dziewczyna, ani pisać, ani czytać, ale wszystko mam tu... (pokazała czoło) i różaniec! Kto nie ma nauki — ma głowę; tak Bóg wynagradza" — dorzuciła w tonie niezawodnej i pogodnej wyższości.

Ktoś opowiadał Sikorze, jedna tam służąca, jak ją ciągnęli do baptystów i namawiali, żeby wyrzuciła różaniec. „Różaniec Matki Boskiej! — biadała Sikora ze zgrozą, toż ja przez niego żyję! — No i ta głupia poszła. A ich starszy, tak jakby ksiądz, czytał im Pismo, jakie to przyjdą klęski na ludzi i o takiej bestii, co ma siedem głów i dużo rogów i wyjaśniał im, że to Papież... To ta dziewczyna mówiła, że jej coś takiego się zrobiło, pod sercem jakby ścisnęło, że nie wiedziała jak się obrócić. Dobrze jej tak, po co chodziła? Obraza Boska!"

Spotkałam raz staruszkę na ławeczce przy kościele, wczesną porą i wiosną. Ubrana była w swoje odwieczne sakpalto i zzieleniały klosz nasunięty na czoło.

— Sikorka! ucieszyłam się.

„Nie Sikorka — przekomarzała się — sikorki na krzaku. O, widzi pani, jak piórka na wiosnę szykują? Ta z kamizelką żółtą to „bogatka" a tamta szarutka, ale ma taką samą czarną furażerkę i jakby jaki kaftanik, a ta z dłuższym ogonkiem, niebieska, jakby mniejsza, ale popatrz no pani jaka zwinna! Jak się kręci! (Cieszyła się wszystkimi zmarszczkami). Są też i czubatki, ale ich nie widać, rzadsze... To są sikorki, a ja Sikora Marysia Sikora!"

Pąki na kasztanach były już nabrzmiałe i lśniące, po głębokim niebie sunęły lekkie, iskrzące obłoki. Niedziela. Na Mouffetard odbywał się szumny targ. Przed kościołem stały wózki pełne kwiatów, młodej sałaty, rzodkiewek i cebuli. Wypięknione dziewczyny zwijały się za zwałami masła, stertami kiełbas. Sprzedawcy zachwalali staniałe jajka, sery, wyborowe normandzkie, owerniackie, afrykańskie pomarańcze!

— Faites votre choix, mesdames!

Plandeki wózków i białe fartuchy rzeźników łopotały w porywach wiosennego przeciągu. W targowy gwar wpadały gromkie głosy gazeciarzy; głosili hasła komunistycznej Humanité, wezwania do jedności de Gaulle'a, zachwalali katolicki L'Homme Nouveau... défend la seule cause de Dieu!

Prowadziłam staruszkę w tłok krok za krokiem w górę ulicy. Na skrzyżowaniu, obok zachrypłych gazeciarzy, stał wózek pierwszych fiołków.

Może obfitość tego targu przypomniała Marysi kuchnię na Sykstuskiej, bo przystanęła i zagadała o Lwowie.

„Jak to ludzie bili się o ten Lwów, moja pani, jak umierali, a obronili go skauci! I powstała ta Polska, a za dwadzieścia lat znowu jej nie ma, rozsypała się! No tak, wola Tego, co świat Jego!

Wstępowałyśmy już na strome schody hoteliku. Kot pręgowaty szustnął w ciemny korytarz. „To mój narzeczony! — zażartowała — przychodzi do mnie w odwiedziny." W izdebce przed gipsowym posążkiem paliła się lampka oliwna.

Sikora zdjęła kapelusz i usiadła na łóżku.

— Nie ma pani nawet siwych włosów!

„Taki ród — stwierdziła z zadowoleniem — ojciec umarł w 87 roku życia i bez siwizny! A było nas w domu siedmioro, dwoje umarło w dzieciństwie, dwoje w Ameryce, dwoje ostało w Polsce — a ja tu. Ale nie wiem nawet, czy żyją, czy już może pomarli... Psik! — fuknęła na kota, co się za nami wśliznął, — nie na ołtarz! Jeszcze mi kwiatki poskubiesz!... Jak ptaki z jednego gniazda, tak się rozlecieliśmy i ptak o ptaku nie wie..."

Na łóżku leżało kilka sztuk wypranej bielizny.

„Musiała tu Magda być, to dobra dziewczyna — zauważyła miękko — nie jak inne; ale córka to poszła po tym salopie ojcu, nieodpowiedni charakter. Mówił, że się z nią ożeni, a żonę miał w Polsce! Ożenił się — na łóżku! A była tam jedna kobieta, starsza i Polka, co ją namawiała! Mówi, że tu taka moda, niby we Francji. Moda! A kto ją wprowadził? Ten, co w kamiennym więzieniu umarł, prezydent, czy jak, pani wie..."

— Może Napoleon? Cesarz?

„A tak, to będzie Napolion. Ale chut! Jeszcze posłyszą, a to ich cesarz!

Ostatni raz widziałam wtedy Sikorę, bo następnego lata umarła.

* * *

„Kto z nas pamięta — mówiła mi niedawno jedna z opiekunek społecznych, której podlegało przed laty dziesięć departamentów Francji — kto pamięta, ilu naszych zmarnowało się na obczyźnie? Ile dziewcząt poszło na manowce, ile za dzieciobójstwo, często nieświadome, skazano na ciężkie roboty? Ilu zmarło po szpitalach? Ilu było obłąkanych? Straszna jest rzecz emigracja i biedny jest człowiek wykorzeniony, jak trawa z ziemi wyrwana, którą byle wiatr pomiata... I nie jest prawdą, że wyjeżdżali tylko nędzarze, bezrobotni i bezrolni. Jechali nieraz ludzie, którym chleba w Polsce nie brakło, chłopy z fantazją, dziewuchy jak rzepy — świata byli ciekawi! Bo to ludzie powiadają — mówili — że szczęście to je za górami! Napatrzyłam się tego ich szczęścia... Ale kto to pamięta?"

Tak bardzo jeszcze chciałabym spytać Sikorę, co ją skłoniło do emigracji. Czy i ona szukała swego losu za górami? I co było jej tarczą pośród „narodu niezbożnego", że zdołała uchronić klejnot dziewictwa bez krat klasztornych, bez zakonnego welonu? Przecie i dla niej gwizdały kosy o szarej godzinie przedwiośnia, wabiły, kusiły i dla niej świeciły gwiazdy w parne noce, kiedy z dalekich nagrzanych łąk płynął zapach sianokosów, ponad dachami Paryża?

Ale dzisiaj to już księga zamknięta. Wieczne Odpoczywanie...

Maria Czapska

JUBILEUSZ PASJONISTÓW

Jubileusz pasjonistów w Ameryce. W pierwszej połowie maja ojcowie pasjoniści obchodzili stuletnią rocznicę założenia pierwszej placówki swego zgromadzenia w Stanach Zjednoczonych. Reguła św. Pawła od Krzyża wydawała się w 18 wieku zbyt ostra i nieżyciowa. Obecnie pasjoniści, założeni przez niego, pracują po całym świecie, zdobywając sobie uznanie powszechne. Arybiskup Cushing porównał rok 1720, kiedy św. Paweł zakładał swe zgromadzenie, do obecnych czasów ateistycznego komunizmu: „Paweł zakładał swe zgromadzenie w czasach, kiedy ateizm przygotowywał się do walki z Bogiem, a bezbożny materializm usiłował zniszczyć wszystkie wartości duchowe. Warunki dzisiejsze są takie, że z powodu ataków brutalnej siły ateistycznej komunizmu Kościół może być ponownie zmuszony do zejścia do katakumb... Przeciwko ateizmowi, komunizmowi, materializmowi i szatańskim siłom nieprzyjaciół Boga skutecznie walczy zakon księży pasjonistów".

UROCZYSTA PROCESJA BOŻEGO CIAŁA DLA POLAKÓW W LONDYNIE

W niedzielę dnia 15 czerwca br. o godzinie 5 po południu odbędzie się uroczysta procesja Bożego Ciała dla wszystkich Polaków w Londynie w ogrodach Braci Ksawerianów na Clapham South (11, Nightingale Lane).

W procesji weźmie udział Prezydent R. P. Pieśni wykona Chór im. Fr. Chopina.

Dojazd: kolejką Northern Line do Clapham South lub autobusami 88, 118, 155, 169.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Czy dzieci polskie powinny mówić po polsku? W rozmowie z przedstawicielami polskiego stowarzyszenia w Brisbane (Australia) tamtejszy arcybiskup Duhig polecił założyć ewidencję Polaków według zawodów, obiecując poparcie w wyszukiwaniu pracy. Podkreślił, że dzieci polskie powinny mówić po polsku i zachowywać tradycje polskie. Ofiarował swą pomoc w udzielaniu miejsca w konwentach na naukę polskiego, o ile znajdą się siły nauczycielskie. Na podsuniętą myśl o zakonnicach wyraził zgodę, ale polecił, by znaleźć takie siostry w Ameryce, które otworzyłyby własny klasztor ze szkołą dla dzieci polskich.

O świętości. Pius XII w przemówieniu z 27 kwietnia powiedział: „Jedną z wartości chrześcijaństwa, oznaką jego nadzwyczajnej żywotności jest to, że można dojść wieloma drogami do celu wyznaczonego przez Boga każdej duszy: do świętości. Duch tchnie, gdzie i jak chce, stąd rozmaitość świętych, którzy zaludniają firmament Kościoła i głoszą bogactwo darów Bożych. Lecz nie ma wątpliwości, że droga miłosierdzia, jeżeli idzie się nią ze stałością i wedle potrzeby z heroizmem, nie ustępuje żadnej innej w doprowadzeniu wprost do świętości. Miłosierdzie w stosunku do bliźniego, wypływające z cnót teologicznych i zharmonizowane z cnotami kardynalnymi: roztropności, sprawiedliwości, wstrzemięźliwości i męstwa, może z całą pewnością posłużyć jako trwały fundament wysokiej doskonałości."

Późne powołania. W Niemczech obserwuje się wzrost liczby tych, którzy w podeszłym wieku poświęcają się stanowi kapłańskiemu. Przed kilku tygodniami przyjął święcenia kapłańskie Walter Gross, dobrze znany na polu przemysłu niemieckiego. Wstąpił do seminarium w wieku lat 57. Jego przyjaciel, dentysta z Gliwic, pięć lat temu został wyświęcony mając lat 62.

Uniwersytet katolicki w Kongo belgijskim. Uniwersytet w Leodium zaprojektował otwarcie uniwersytetu katolickiego w Kimvenza. Uniwersytet będzie miał cztery fakultety: filozofii, prawa, nauk przyrodniczych i medycyny. Z czasem ma powstać także wydział teologii.

Śmiała inicjatywa zakonnic. Dwie zakonnice ze zgromadzenia misyjnego z Maryknoll zyskały sławę światową przez projekt pomieszczeń dla uchodźców z Chin. Zakonnice, które same uciekły spod władzy komunistycznej, rozpoczęły w okolicy Hongkongu budowę domów, oczywiście przy pomocy uchodźców. Katolickie organizacje charytatywne w Stanach Zjednoczonych pośpieszyły z pomocą śmiałej inicjatywie przez dostarczanie materiału budowlanego.

„Pax Christi". W roku 1945 grupa katolików francuskich założyła stowarzyszenie Pax Christi, którego celem miała być modlitwa Francuzów i Niemców o pokój między tymi narodami. Później stowarzyszenie stało się krucjatą modlitw o pokój międzynarodowy, a w ten sposób odpowiedziała na apel Papieża. W grudniu 1950 roku stowarzyszenie przekształciło się w organizację międzynarodową ze siedzibą we Fryburgu. Prezydentem jej jest arcybiskup Paryża Feltin, a prezydentami sekcji narodowych biskupi, ażeby w ten sposób nadać całej organizacji charakter jedności i pokoju w oparciu o zasady Kościoła katolickiego. Cały ten ruch ma dwa cele: 1) modlitwa o pokój światowy; 2) popularyzowanie pouczeń Kościoła o pokoju i naukowe badanie warunków i środków dla osiągnięcia trwałego pokoju między narodami.

Odznaczenie Maritaina. Zarząd „Galerii Żyjących Autorów Katolickich" przyznał ostatnio najwyższe tegoroczne odznaczenie francuskiemu filozofowi Jacques Maritainowi za jego książkę p.t. „Człowiek i państwo". Uroczystość wręczenia nagrody odbyła się w Nowym Jorku w obecności wielu wybitnych osobistości amerykańskich i zagranicznych.

Jacques Maritain jest obecnie profesorem na amerykańskim uniwersytecie Princeton w stanie New Jersey. Jest on jednym z najwybitniejszych żyjących filozofów katolickich oraz znawcą filozofii św. Tomasza z Akwinu. W swoich filozoficzno-społecznych pracach Maritain okazał się niejednokrotnie potężnym przeciwnikiem marksizmu i ateistycznego komunizmu.

MARIAN BOHUSZ - SZYSZKO

O AKADEMII, KRYTYKACH I O NAS

Czytelniku, gdybyś wyczytał, że na jakiejkolwiek uczelni wyższej w Londynie panuje integralne nieuctwo i że służy ona krzewieniu bezsensu — wówczas przede wszystkim z wielkim sceptycyzmem pomyślałbyś o autorze takiej wypowiedzi. Sądy bezwzględnie potępiające, jak i sądy bezwzględnie apoteozujące, są zawsze podejrzane, a bardzo rzadko trafne. Wiedząc o tym, może nie powinienbym wypowiadać twierdzenia, brzmiącego zaiste prowokacyjnie, że instytucja nosząca zaszczytny tytuł „królewskiej", posiadająca tradycję prawie dwustu lat istnienia, jest właśnie szerzycielką najgorszego smaku i niekompetencji, że synonimami jej roli w sztuce tego kraju dzisiaj są: obskurantyzm, wstecznictwo, snobizm, jałowość... Gdybym napisał inaczej, w wyniku obejrzenia salonów letnich i zimowych z kilku ostatnich lat w Royal Academy, znaczyłoby to, że piszę do Ciebie, Czytelniku, nieszczerze, że staram się skokietować Cię pseudo-umiarem w wypowiedziach o zjawisku, z artystycznego punktu widzenia — wprost haniebnym. Nie pamiętam, ile jest pozycji w obecnym salonie letnim Akademii: sześćset czy osiemset; po starannym obejściu wszystkich sal, do którego zmusiłem siebie wysiłkiem twardej woli, znalazłem trzy słabe obrazy, nadające się do krytyki. Pozostałe eksponaty do malarstwa (czy rzeźby), w znaczeniu poważnym, nie należą i są poniżej poważnej krytyki. Katalogu nie kupiłem. Eksponaty mówią same za siebie, nazwiska są niepotrzebne. Dzieł Churchilla ani marszałka Alexandra nie starałem się zidentyfikować. Prace ich na pewno nie gorsze są od innych.

Znany krytyk, Eryk Newton, w swoim artykule („Listener" nr 1211 z dn. 15 maja) pisze o tym salonie z gryzącym sarkazmem, ale wstawia zdanie: „But it cannot be ignored, for it contains so much good stuff". Konia z rzędem panu Newtonowi, konia namalowanego przez malarza na miarę Michałowskiego, a nie Sir Muningsa, jeżeli pokaże, gdzie w tej stajni Augiaszowej malarskiego bezsensu można znaleźć tego dobrego „stuffu" choćby na lekarstwo.

Powtarzam: człowiekowi nieobeznanemu ze swoistą dziedziną sztuki, człowiekowi, który by chciał szukać analogii do zjawisk tutaj wymienionych, na przykład w uczelniach wyższych innych typów lub w instytucjach naukowych, nie może się pomieścić w głowie, aby prezesi Akademii Królewskiej, tacy jak obecnie Sir Kelly albo „miniony" Sir Munings, z całą plejadą osobników operujących pędzlem i opatrzonych literami R. A. po nazwisku, mogli być zwykłymi partaczami w myśl ocen kontynentalnych. Przecie analogiczne twierdzenie, dotyczące na przykład prezesów towarzystw naukowych, byłoby zwykłą, bezpodstawną arogancją. Jeszcze trudniejszą do przyjęcia jest prawda, że n. p. prace dzieci dziewięcio- dwunastoletnich, n. p. tych ze szkoły polskiej w Diddington, których dzieła oglądaliśmy w Londynie kilka tygodni temu, mogły dawać prawdziwą radość artystyczną odbiorcy, a więc że są dziełami sztuki, podczas gdy prace ludzi, obsypanych wysokimi tytułami Imperium, są nieporozumieniami, nic ze sztuką nie mającymi wspólnego.

Te pozorne paradoksy wynikają z praw zupełnie odrębnych duchowej aktywności człowieka, którą się wiąże ze sztuką. W zakresie nauki, w wypadkach 99 na 100, jest prawdą, że człowiek, który poświęcił kilka dziesiątków lat wytężonej, systematycznej pracy w dziedzinie jakiejś dyscypliny naukowej, stanie się, przy średnich zdolnościach, poważnym pracownikiem w tej dziedzinie. Tytuł naukowy, taką drogą zdobyty, jest odpowiednikiem prawie zawsze pewnych określonych, istotnych wartości wewnętrznych, pewnej kompetencji społecznie przydatnej i potrzebnej. W sztuce może się okazać — i zdarza się to niesłychanie często — że dziesiątki lat pracy, nawet przy „zdolnościach", jeżeli jednak ta praca prowadzona była torem niewłaściwym (acz często zgubną tradycją uświęconym), dają wynik pozbawiony wszelkiego sensu, a nawet zdecydowanie ujemny, bo dezorientujący jednostkę duchowo, a społecznie potęgujący bezwład odbiorcy. Co więcej, takie zupełne fiasko twórcze może się łączyć (i łączy się często) z udaną „karierą życiową"! Ba, z sukcesami pieniężnymi, zaszczytami, z orderami! Wystarczy wspomnieć w Anglii takiego Augustusa Johna, w Polsce całą rodzinę Styków — królów bluffu w zakresie sztuki, których sukcesy pieniężne stały zawsze w odwrotnym stosunku do wartości artystycznych.

W świecie nauki prawie nie bywa nic podobnego; może się oczywiście zdarzyć, że ktoś zrobi tutaj „karierę" ponad zasługę, ale ten, kto ją zrobił, na pewno coś, choćby nawet mniej niż mu przyznają, znaczy. W karierze artystycznej można osiągnąć sukces życiowy, związany z absolutnym fiaskiem w znaczeniu twórczym. Przykładów jest setki. Bywają też środowiska typowe dla takich nieporozumień w zakresie sukcesów akademickich. Do nich należy Anglia. Polska nie była typową pod tym względem. Nasi profesorowie Akademij Sztuk Pięknych bywali prawie zawsze artystami z prawdziwego zdarzenia, często wielkimi artystami. Oto n.p. nazwiska profesorów Akademii krakowskiej, na kilka lat przed wojną: Axentowicz, Dunikowski, Mehoffer, Malczewski, Fałat, Weiss Wyczółkowski, Pankiewicz...

Nie znamy ani jednego profesora Royal Academy, który by coś znaczył w sztuce swego kraju — i to od lat! Zastrzegam się jak najkategoryczniej przeciwko posądzaniu mnie o niechętną stronniczość w stosunku do Anglików. Sztukę angielską cenię wysoko — sztukę Hogartha, Bonningtona, Turnera, Constable'a, później Sickerta, Christophera Wooda, malarki Gwen John, dziś Tomasza Moora, Sutherlanda, Bena Nicholsona, Williama Scotta. Ale wszyscy ci współcześni (a z dawnych n. p. Constable) sądzą o Akademii dokładnie to samo, co i autor tego nietaktownego artykułu. Chaos potęguje dziwne elukubracje krytyków. Tak, n. p. Erick Newton albo Sylwester, piszący w „Listener" są ludźmi sprawnych piór, świetnych stylistycznie, pozornymi erudytami w sprawach plastyki. Tak jakbyśmy mieli do czynienia z krytykami muzycznymi, którzy na pamięć wykuli prawa kontrapunktu, ale którzy do tego stopnia nie mają słuchu, że nie słyszą ordynarnego fałszu, który popełnił skrzypek lub śpiewak. Przecie Eryk Newton w książce swojej o malarstwie współczesnym, zdawałoby się ciekawie i z sensem pisanej, potrafi nagle powiedzieć, że zna tylko jednego malarza współczesnego, który się może porównać z Breughlem, Michałem Aniołem etc... Stanleya Spencera! Przypomina mi się rozmowa, którą niedawno miałem z wysoko edukowaną damą z naszych kół literackich. „Czy nie sądzi pan, że Rapacki, to polski Turner?" — „Istotnie, łaskawa pani, mogę w tej chwili dać równie słuszne porównanie: Staśko, to polski Shakespeare". Toutes proportions gardées, rozmowa powyższa miała miejsce w Ognisku, a brednie Erykowe drukuje się w „Penguin Books", a inne (o których n. p. mowa poniżej) rozsiewa w eterze BBC.

Znowu słyszę protest czytelnika: Jak to? Przecie ci ludzie, profesorowie i członkowie Akademii i ich krytycy uczą się latami, dziesiątkami lat i w wyniku... — Czy słyszałeś, Czytelniku, o chederze, szkole talmudycznej żydowskiej? Uczeń takiej szkoły latami, dziesiątkami lat studiuje swoje księgi i wreszcie dochodzi do szczytowych osiągnięć sprawdzalnych testem, że potrafi stwierdzić: gdy przekłuje się Talmud szpilką w tym a tym punkcie, to na str. 142 w wierszu 5 od góry trafisz na literę alef! Zdumiewające to i bardzo trudne — tylko — po co jest ta wiedza? Uczeń chederu odpowie zawsze: „Ku czci Jehowy" (i taka odpowiedź wzbudzi w nas szacunek). „Akademik" zapytany po co nauczył się robić to, co wystawiają mu w salonie, gdy będzie wyjątkowo szczery, odpowie: aby [illegible] nazwiskiem literki R. A., a przed nazwiskiem „Sir" (i taka odpowiedź wzbudzi w nas niesmak).

Salon Akademii należy zwiedzić, aby poznać, czym sztuka nie jest. Mogę się tu spotkać z zarzutem, że neguję wartość zjawiska nie precyzuję jego istoty ani wartości przeciwstawnych tym poronieniom. Otóż zwierzam Ci się, Czytelniku, że przestałem wierzyć, aby takie sprecyzowania miały wartość, jeżeli nie są oparte na bezpośrednim obcowaniu z dziełem. Wartości i ich negacje w plastyce można formułować przykonywująco i naprawdę pouczająco tylko twarzą w twarz właśnie ze zrealizowanym zjawiskiem twórczym, względnie z jego wypaczeniem... Robię to z miłymi łaskawymi słuchaczami już od czterech lat na terenie londyńskich wystaw w czasie niedzielnych wycieczek i tylko tam jestem w stanie uzasadniać poważnie to, co tutaj ma charakter raczej tez arbitralnych.

Otrząsnąwszy pył z sandałów po Royal Academy, warto zwiedzić obecną pośmiertną wystawę trzech malarek angielskich: Gwen John, Ethel Walker i Frances Hodgkins w Tate Gallery. Pierwsza z nich zajmuje też pierwsze miejsce w znaczeniu wartości na tej wystawie i bodaj wśród malarek całej plastyki angielskiej. Dzieła jej stwierdzają wrażliwość na kolor, skromność, bezpośredniość obserwacji. Można ją nazwać Olgą Boznańską Anglii, o mniejszym jednakże, niż ta ostatnia, potencjale twórczym. Ani Ethel Walker ani Frances Hodgkins nie umywają się do Boznańskiej pod względem wartości malarskich. Pierwsza nie czuje zupełnie koloru, operuje zestawieniami mdławo-brudnymi, druga, obdarzona niewątpliwie inwencją, nie przeszła przez głębszą szkołę malarską, brak jej kultury. Do curiosów należy zdanie z cytowanego już artykułu Eryka Newtona, że po latach obcowania z dziełami France Hodgkins doszedł on do konkluzji, że jest ona „one of the three greatest colourists that ever lived". Rewelacja! Spędziłem bezsenną noc, układając triady, które mogły być pomyślane przez p. Eryka Newtona, n. p. Tintoretto, Tycjan, Frances Hodgkins albo Rembrandt, Rubens, Frances Hodgkins, albo Frances Hodgkins, Cézanne, Bonnard... Przypomina się bajka Kryłowa o szczupaku, który postanowił łowić myszy. Jak wiadomo, te ostatnie odgryzły łowcy ogon.

Na naszym polskim podwórku do bolesnych i smutnych wydarzeń należy zaliczyć wystawę studentów Polaków ze szkół plastycznych angielskich w Klubie przy 6 Cadogan Gardens. Gorszy nonsens pedagogiczny trudno sobie wyobrazić. Marnotrawstwo pieniędzy publicznych na takie nauczanie, to drobiazg wobec marnotrawstwa prawdziwych zdolności, jakimi obdarzona jest nasza młodzież. To nie frazes, że lepiej jest nie uczyć się wcale, niż uczyć się tak właśnie. Skrzywionej nieucką manierą wyobraźni i nerwów ręki nie odrabia się w czasie równym temu, jaki się zużywa na zdobycie tej właśnie maniery! Znowu się muszę zastrzec najkategoryczniej przeciwko posądzaniu mnie o potępianie w czambuł szkolnictwa artystycznego w Anglii. Są tu szkoły i szkoły. N. p. widzieliśmy kilka miesięcy temu w czasie festiwalu brytyjskiego wystawę klasy witraży, pokazaną przy stacji kolejki podziemnej Hyde Park Corner. Świetniejszego pokazu szkolnego w zakresie tej dyscypliny plastycznej nie zdarzyło mi się widzieć, nie wyłączając najlepszych szkół paryskich! A więc są tutaj dobre i nawet świetne szkoły i klasy. I nieprawda, jak powiedziano w przemówieniu przy otwarciu wystawy, że mogą być tam usterki czysto artystyczne, bo chodzi o osiągnięcia rzemiosła artystycznego i zdobnictwa. Właśnie to r z e m i o s ł o przejawia się fatalnie. Rzemiosło dobre nigdy nie może prowokować ani paczyć dobrego smaku — tutaj obraza takiego smaku panuje na każdym kroku; wystarczy wspomnieć projekt na witraż. A już rekordy nieuctwa w nauczaniu biją rysunki architektoniczne. N. p. „Classical composition". Nie chciałem wierzyć oczom własnym, że to nie Pipidówka, ale Londyn i rok 1952, a nie 1752.

Nie można mieć za złe inicjatorom tej wystawy, że ją zorganizowali; przeciwnie, opinia publiczna powinna być poinformowana o poziomie studiów naszej młodzieży. Na omawianej wystawie był tylko jeden dział odpowiadający wysokiemu poziomowi szkolnictwa angielskiego, z którego korzysta nasza młodzież poza plastyką. Tym działem dobrze prowadzonym, a więc i dającym właściwe wyniki, jest dział fotografiki.

Dość żółci! W „Ognisku Polskim" można obejrzeć wystawę rysunków i kilku prac malarskich Ireny Marlewskiej. Rysunki ciekawe realizowane prostymi środkami są jeszcze trochę szkolne, gdy się stosuje kryteria oceny dla artystki tak zdolnej i poważnej, jak p. Marlewska. Gwasze są bardzo piękne. Abstrakcyjna kompozycja przy oknie jest osiągnięciem zapowiadającym okres własnej dojrzałej, zupełnie współczesnej wizji.

Marian Bohusz Szyszko

DR TADEUSZ STARK

„DOKTOR ZACHĘTY"

W dniu 22 maja br. Koło genewskie P.K.S.U. Veritas urządziło obchód dla uczczenia rocznicy konsekracji biskupiej św. Franciszka Salezego, połączony z pielgrzymką do grobu świętego w Annecy we Francji.

Dla oddalonego od spraw Kościoła katolika pojęcie „świętości" tak przewyższa wszystko, co ludzkie, że zdaje się wykraczać daleko poza możliwości przeciętnego człowieka. „Świętych" uznaje się za obdarzonych przez Boga specjalnymi zdolnościami, których brak zwykłemu śmiertelnikowi, a które zezwalają na znoszenie łatwiej najcięższych cierpień i prób. Czasem uważa się ich nawet za osoby psychicznie nienormalne, czy zahypnotyzowane, posiadające dar jasnowidzenia i czynienia cudów.

Jeśli bliżej przyjrzymy się świętym i ich życiu, nie trudno zauważyć, że pogląd ten jest błędny: nie tylko nie obdarzył ich Bóg żadnymi „ułatwieniami", pozwalającymi znosić cierpienia w milczeniu, a nawet z ochotą, ale zsyła na nich znacznie cięższe doświadczenia, niż na kogokolwiek. Aby dojść do wielkości, każdy niemal święty musi całe lata prowadzić ciężkie walki i zmagania ze swoją własną buntowniczą naturą, a nadto z osobami, którym podlega, lub które są mu najbliższe.

Do świętych, którzy od młodości zmuszeni byli walczyć ciężko z przeciwnościami swego żywego charakteru oraz licznymi przeszkodami ze strony najbliższych, należy bezwarunkowo biskup genewski, św. Franciszek Salezy.

Urodzony w domu wielkopańskim, w wieku XVI, w którym jedynie bogactwa i urodzenie miały znaczenie, zrezygnował bardzo wcześnie z wysokich godności i łatwego życia i zrównał się z „najniższymi". Mając do dyspozycji olbrzymi majątek, wybrał ubóstwo, a zamiast sławy skromność i pokorę. Bóg zażądał od niego ciężkich walk dla ujarzmienia charakteru. Do wytrwania w swych zamiarach Franciszek Salezy używał wciąż nowych argumentów, aby przekonać swego surowego ojca, który do późnych lat nie mógł pogodzić się z losem, gdyż chciał widzieć syna prowadzącego życie wygodne i bez przeszkód. Zdawało się, że wszystko jest przeciw Franciszkowi, ale nie odstraszyło go to od raz powziętego zamiaru wejścia na obraną drogę.

Te przeciwności i ta walka z nimi w dążeniu do wytkniętego celu zbliżają św. Franciszka do nas i czynią jego osobę bardzo „ludzką".

Jest jednak i jeszcze jedna cecha, która zyskała temu świętemu bodaj większe jeszcze imię: to jego głęboka mądrość i zadziwiająca wprost znajomość psychiki ludzkiej, oparta na poznaniu wad ludzkich i szukaniu na nie lekarstwa. Cechowały one każdy sąd czy wypowiedź świętego za jego życia i dziś przemawiają do nas z każdego jego pisma. One to pozwoliły św. Franciszkowi zdobywać dusze, nawracać heretyków, wzruszać grzeszników i nakłaniać do życia pobożnego tych którzy urodzili się wprawdzie w wierze katolickiej, lecz byli zimni i niezdecydowani.

Ta głęboka mądrość spowodowała, że od dawna nadano św. Franciszkowi w jego ojczyźnie przydomek „doktora zachęcającego" i „doktora pocieszyciela" — Docteur Encourageant. Kościół zaś przez usta Papieża Piusa IX uznał go oficjalnie w roku 1877 „doktorem Kościoła", dziewiętnastym z rzędu doktorów, a pierwszym pośród Francuzów.

Św. Franciszek zawdzięczał niewątpliwie swej własnej pracy znajomość ludzkiej duszy. Dane mu było zresztą czerpać za młodu wiedzę z najświetniejszych źródeł. Po naukach w położonym blisko miejsca jego urodzenia Annecy w Sabaudii widzimy go w Paryżu. Potem studiuje w Padwie, gdzie m.in. styka się z Possewinem, który w roku 1580 wyjeżdżał w znanej delegacji od Papieża do króla Stefana Batorego w Polsce. Wreszcie widzimy św. Franciszka i w Rzymie, gdzie nabyte nauki są ukoronowaniem jego studiów teologicznych.

Kościół potrzebował w owych czasach jego mądrości i nie było na pewno przypadkiem, że Bóg wybrał wtedy właśnie aktywnego orędownika swojej sprawy. Były to czasy, gdy pobliska Genewa stała się ośrodkiem rozprzestrzeniającej się szybko herezji religijnej. Przeciwstawić się tym prądom i przeciwdziałać głoszonym błędom Kalwina i Bèze'a mógł tylko ktoś głęboko znający naukę Kościoła i umiejący ją głosić z zaparciem i oddaniem.

Kiedy duchowni katoliccy zmuszeni zostali do opuszczenia Genewy wskutek wzrastających coraz bardziej namiętności religijnych i zaciekłości nowatorów, położona o kilkadziesiąt kilometrów na południe stolica Sabaudii, Annecy, stała się nieugiętym ośrodkiem katolicyzmu. Św. Franciszek piastujący tam z początku różne mniejsze godności kościelne, obrał sobie za teren swej misji nawracania heretyków — kraj najbardziej zagrożony, zwany Chablais i przylegający do Jeziora Lemańskiego od strony Sabaudii. Tutaj wykonywał swe funkcje apostolskie z prawdziwym zaparciem i nieustraszoną odwagą, narażając się na ciągłe ataki przeciwników Kościoła, którzy wyczuli w nim natychmiast groźnego dla ich sprawy rywala.

Wyniki tej pełnej poświęcenia działalności i zdolność zdobywania i zachęcania dusz nie dały na siebie długo czekać. Groźna fala, która zaczęła zalewać Francję, została w samą porę zatrzymana. Nowa religia nie wykroczyła daleko poza bramy Genewy, choć z początku wszystko zdawało się wskazywać na to, że zasięg jej będzie znacznie szerszy.

W swej działalności św. Franciszek docierał do osobistości najwyżej postawionych a m.in. wywarł znaczny wpływ na ówczesnego króla francuskiego, Henryka IV. Znane też są dyskusje religijne, jakie prowadził z Teodorem Bèze, następcą Kalwina, przekradając się w przebraniu do Genewy. Dyskusje te zdawały się wywierać duże wrażenie na teologu kalwińskim, lecz niestety z powodu podeszłego wieku, nie znalazł on dość siły, aby nawrócić z błędnej drogi.

Wśród niezmordowanej pracy apostolskiej św. Franciszek znalazł również czas i środki na założenie nowej kongregacji sióstr wizytek, której stał się opiekunem i protektorem. Obrana przez niego przełożona Kongregacji została sama święta pod wpływem nauk św. Franciszka i dziś czczona jest szeroko jako św. Joanna de Chantal.

Kiedy w roku 1602 zmarł biskup tytularny Genewy, osiadły po wypędzeniu w pobliskim Annecy, jego następcą został wybrany św. Franciszek Salezy. Utrzymał on dawny tytuł „biskupa Genewy" mimo że nie dane mu było wykonywać swych funkcyj w tym mieście.

W roku obecnym obchodzimy rocznicę jego konsekracji biskupiej która odbyła się w Annecy przed 350 laty.

Rocznica ta winna przypomnieć wszystkim katolikom, jak niezliczone są osoby, które doznały pociechy w naukach tego świętego w czasie największych trosk i cierpień i które pogłębiły swoje życie religijne dzięki jego zachętom i przekonywującym argumentom. Mały i niepozorny tomik p.t. „Wprowadzenie do życia pobożnego" (Introduction à la vie dévote), znany też pod tytułem „Filotea", napisany przez św. Franciszka, wywarł o wiele większy wpływ na ludzkość, niż niejedno wielotomowe dzieło. Tomik ten, mimo upływu kilku setek lat od jego wydania nie stracił nic ze swej aktualności. Zawiera on — jak ktoś trafnie powiedział — „balsam nadający się do gojenia wszelkich ran", a przy tym zadziwia głębią myśli będąc zarazem źródłem odwagi i energii chrześcijańskiej.

Nauki swoje zostawił św. Franciszek potomnym w licznych swych pismach listach, a nawet najskromniejszych wypowiedziach, które zachowały się do dzisiaj. Dla nas Polaków przebywających na emigracji, nauki tego świętego są szczególnie na czasie i celem naszym winno być bliższe zapoznanie się z nimi, jak i z całym życiem św. Franciszka. Wielu z nas znajdzie w pismach jego światło i oparcie w różnych trudnościach życia emigracyjnego. Życie tego świętego, pełne walk z przeciwnościami i mimo tego nie ulegające im, lecz przeciwnie, znajdujące w nich „pociechę" i „zachętę" do walki o życie chrześcijańskie, może być dla nas wzorem. Nauki zaś św. Franciszka winny być naszym drogowskazem w tej walce, o której sam św. Franciszek mawiał, że jej zakończeniem może być jedynie zwycięstwo, jeśli tylko zechcemy walczyć do samego końca.

Dr Tadeusz Stark

JUBILEUSZ KAPŁAŃSKI REKTORA MISJI KATOLICKIEJ

W dniu 3 lipca br. mija 25 lat od chwili otrzymania święceń kapłańskich przez Ks. Prałata Władysława Staniszewskiego.

Jest tradycją naszego narodu serdecznie czcić jubileusze kapłańskie. Zachowujemy tę piękną tradycję i tu na obczyźnie, dając wyraz naszym uczuciom wobec Duszpasterza o wielkich zasługach religijnych i narodowych.

Ks. Prałat Staniszewski już przed wojną pracował dla dobra Polaków za granicą. W czasach wielkiej zamieci wojennej szeroko otworzył On drzwi Kościoła Polskiego dla wezbranej fali uchodźstwa wojennego, szukającego ukojenia w rozpaczy i podtrzymania w wierze. I jedno i drugie znajdowali Polacy u ołtarzy swojego kościoła w Londynie.

Czyniąc zadość tradycji oraz potrzebie serc naszych, zawiązał się w Wielkiej Brytanii pod przewodnictwem Ks. Infułata Bronisława Michalskiego i Ambasadora E. Raczyńskiego Komitet dla uczczenia jubileuszu Ks. Prałata Staniszewskiego w dniach 12 i 13 lipca br. w Londynie.

Zgodnie z życzeniem Jubilata obchód będzie miał charakter ogólnoreligijny, a nie osobisty. Dopełnieniem jego będzie dar powstały ze składek społeczeństwa polskiego, a przeznaczony na dokończenie witraży i upiększenie kościoła polskiego przy ul. Devonia.

Zwracamy się do uchodźstwa polskiego w Wielkiej Brytanii o nadsyłanie na ten cel ofiar pod adresem: Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii, 51, Eaton Place, London, S. W. 1, zaznaczając przeznaczenie wpłaty „Na dar jubileuszowy". Czeki wypełniać należy na: „Polish Institute of Catholic Action".

Równocześnie zwracamy się do Przewielebnych Księży Dziekanów z prośbą o łaskawe zebranie na terenie swoich dekanatów, na załączonej karcie do Księgi Pamiątkowej, podpisów Przewielebnych Księży oraz władz organizacji katolickich i społecznych, które pragnęłyby tą drogą złożyć życzenia Jubilatowi.

Całą powyższą akcję przygotowawczą należy zakończyć do dnia 1 lipca br., do którego to terminu prosimy o przesłanie pod adresem Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej zarówno ofiar pieniężnych na dar, jak i podpisanych kart do Księgi Pamiątkowej.

Na terenie Londynu karty dla złożenia podpisów przez organizacje są dostępne w godzinach urzędowych w czerwcu w siedzibie P. K. S. U. „Veritas" — 21, Earls Court Square, S. W. 5 oraz w siedzibie Zjednoczenia Polskiego, 18. Queens Gate Terrace, S. W. 7 i Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom: 33, Weymouth Street, W. 1.

Komitet Jubileuszowy

Londyn, dnia 1 czerwca 1952 r.

NOTATKI

WYSTAWA KSIĄŻKI NIEMIECKIEJ W PARYŻU. W budynku Sorbony otwarta została pierwsza od 1945 r., to jest od czasu okupacji niemieckiej, wystawa książki niemieckiej, z samych Niemiec zachodnich. Ma ona charakter wybitnie propagandowy, co widoczne jest już choćby z tego, że wstęp na wystawę jest wolny, a katalog otrzymuje się bezpłatnie. Poza tym zwiedzający mogą „przekartkowywać" dowolnie wystawione książki.

Wystawa wykazuje, że nie tylko w dziedzinie gospodarczej, ale także w dziedzinie produkcji wydawniczej Niemcy podniosły się po wojnie niesłychanie szybko. W dziale beletrystyki wystawiono zarówno książki pisarzy starszego pokolenia: Thomasa Manna, E. M. Remarque'a, Ernesta Wiecherta i innych, jak i książki nowych, wyrosłych już w czasie wojny i po niej gwiazd literackich. Z pisarzy dawniejszych uhonorowano m.in specjalnie Kafkę. Osobny dział stanowią książki polityczne.

Tygodnik „Nouvelles Littéraires", który najbardziej z całej prasy francuskiej popiera idee współpracy intelektualnej francusko-niemieckiej, pisze o wystawie z entuzjazmem i podkreśla m.in, że w dziale przekładów pierwsze miejsce zajmują tłumaczenia pisarzy francuskich (co zresztą nie może dziwić, skoro wystawa odbywa się w Paryżu), w szczególności dzieł André Gide'a.

WYSTAWA MOZAIK Z RAWENNY

Staraniem Arts Council odbywa się obecnie w New Burlington Galleries (Old Burlington Street, W.1) wystawa słynnych mozaik z Rawenny. Nie są to oczywiście oryginały tych mozaik, które ozdabiają kościoły Rawenny od blisko półtora tysiąca lat, ale ich repliki sporządzone w samej Rawennie przez „Bottega del Mosaico". Są one niezmiernie interesujące z wielu punktów widzenia i jak łatwo sprawdzić przypatrując się im, stały się inspiracją niektórych kierunków artystycznych naszej własnej epoki.

Wystawa otwarta jest do 22 czerwca w poniedziałki, środy, piątki i soboty od 10—6, we wtorki i czwartki od 10—8, w niedziele od 2—6. Wstęp 1 sh.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 15 czerwca 1952.

CZY GRÓB MIESZKA I?

(Rozmowa z prof. Z. Wojciechowskim)

W związku z doniosłym odkryciem dokonanym w Katedrze w Poznaniu. Redakcja warszawskiego „Słowa Powszechnego" zwróciła się do znanego uczonego, prof. Zygmunta Wojciechowskiego, profesora Uniwersytetu Poznańskiego z prośbą. by od strony historycznej objaśnił wagę odkrycia.

— CZY ODKRYCIE W KATEDRZE POZNAŃSKIEJ BYŁO ZUPEŁNĄ NIESPODZIANKĄ?

— Jest ono doniosłe co do treści, jednakowoż to, cośmy dotychczas wiedzieli z zakresu historii Poznania, pozwalało przypuszczać, że na tym terenie mogły znaleźć się zabytki dużej wagi.

— JAKA BYŁA PODSTAWA TEGO PRZYPUSZCZENIA?

— Tkwiła ona w przełomowym odkryciu dokonanym w r. 1939 przez obecnego profesora Uniwersytetu Poznańskiego, a podówczas magistra, Witolda Hensla. Pracując wówczas pod kierunkiem prof. Józefa Kostrzewskiego, odkrył Hensel ślady grodu poznańskiego z czasów drugiej połowy w. X. Szczególne znaczenie tego grodu polegało na powiązaniu konstrukcji drewnianej z zabezpieczającą tę konstrukcję od zewnątrz ławą kamienną. Gród był więc wyjątkowo silnie ufortyfikowany, a charakterem całym swoim zdradzał szczególne przeznaczenie.

— NA JAKIM TERENIE DOKONANO PODÓWCZAS TEGO ODKRYCIA?

— Wspomniany fragment wału grodowego odkryto na terenie Placu Katedralnego. Tym samym katedra, jak zresztą od razu można było przypuszczać, znajdowała się na podgrodziu. Gród drugim swoim ramieniem opierał się o Wartę. Na terenie grodu znajdować się musiała kaplica zamkowa, której ślad pozostał we współczesnym (gotyckim) kościółku N. M. Panny.

— CZY MOŻE PAN PROFESOR NAM COŚ WIĘCEJ POWIEDZIEĆ O GENEZIE ÓWCZESNYCH PRAC WYKOPALISKOWYCH?

Łączyły się one z ruchem naukowym, jaki śledzić można było w środowisku poznańskim W tych też warunkach wyrosło zrozumienie dla potrzeby prac archeologicznych gdyż tylko od archeologii można było oczekiwać odpowiedzi na niepokojące pytania uczonych.

— JACY UCZENI PRACOWALI W TEJ DZIEDZINIE?

— Jak wspomniałem, głównym kierownikiem prac wykopaliskowych był podówczas nestor naszych archeologów znakomity prehistoryk prof. Józef Kostrzewski. Równolegle z nim pracował prof. Władysław Kowalenko, który pierwszy próbował związać osadnictwo wczesno-historyczne z danymi archeologicznymi. Spośród historyków najsilniej postulat prac wykopaliskowych wysuwał znakomity autor „Ziem polskich w starożytności", prof. Kazimierz Tymieniecki. Z tego środowiska i z tych zainteresowań wynikły prace, których ostatecznym kierownikiem był wspomniany już prof. Witold Hensel. Z jego też nazwiskiem wiąże się owe doniosłe odkrycie grodu poznańskiego z drugiej połowy w. X.

— CZY ODKRYCIE TO MIAŁO CHARAKTER ODOSOBNIONY?

— Trzeba stwierdzić, że na terenie Wielkopolski, a zwłaszcza na obszarach graniczących z Ziemią Lubuską i Pomorzem Zachodnim odkryto podobne sposoby budowania grodów. Tym, co te sposoby budowy łączy w jedną całość, jest nie tylko powiązanie struktury drewnianej z ławą kamienną, ale także specjalny sposób układania konstrukcji drewnianej. Archeologowie ochrzcili ją mianem hakowej. Polegała ona na tym, że ucinając drzewo, nie ucinano wszystkich gałęzi lecz pozostawiając jedną grubszą gałąź z lekka tylko uciętą, używano klina pomiędzy pniem a odrostem gałęzi jako sposobu przytrzymywania konstrukcji drewnianej. O ile ta ostatnia ułożona była poprzecznie, to owe pnie kładziono podłużnie, używając wspomnianego odrostu gałęzi dla wstrzymania naporu konstrukcji drewnianej.

— CZY TO INFORMACJA WIĘKSZEGO ZNACZENIA?

— Niewątpliwie tak, gdyż stanowi ona specyfikę budownictwa grodów piastowskich z X wieku. Łączy się ta specyfika z wyłonieniem się państwa Piastów, jest jego materialnym wyrazem. Równocześnie bez wątpienia wyrazem klasowego już, feudalnego społeczeństwa.

— JAKI ZWIĄZEK TYCH BADAŃ Z NIEDAWNYM ODKRYCIEM W KATEDRZE POZNAŃSKIEJ?

— Odkrycia te łączą się z poprzednimi najściślej, są ich naturalnym dalszym ciągiem. W szczególności przypomnieć trzeba, że dopiero co wspomniany prof. Witold Hensel umożliwił rozprowadzenie obrazu, jaki uzyskał już w roku 1939. Równocześnie dał podstawę pod prace prowadzone na terenie katedry.

— POD CZYIM KIERUNKIEM DOKONUJĄ SIĘ ONE?

— Kierownictwo tych prac spoczywa obecnie w ręku wybitnego historyka sztuki prof. Zdzisława Kępińskiego, dobrze znanego szerokiemu ogółowi z doniosłego odkrycia dokonanego przed niedawnymi laty w Strzelnie, gdzie prof. Kępiński odsłonił niezwykle interesujące płaskorzeźby romańskie na zatynkowanych filarach. Drugą osobą pracującą z prof. Kępińskim, jest mgr Józefowiczówna dobrze zasłużona przy pracach prowadzonych w Trzemesznie. Trzeba wyraźnie powiedzieć że prace dokonywane w Poznaniu zarówno przez prof. Hensla, jak przez prof. Kępińskiego i mgr Józefowiczównę były nie tylko w rękach doskonałych fachowców, ale również osób posiadających przysłowiowe szczęście.

— CZY TO OSTATNIE POWIEDZENIE BĘDZIE SŁUSZNE?

— Zapewne tylko częściowo. Może słuszniejszym będzie stwierdzenie, że teren, na którym podjęto badania, był szczególnie pod tym względem wdzięczny. Zarówno bowiem Strzelno jak też — i w jeszcze większej mierze — Poznań, to są stare tereny kulturowe, co do których można przypuszczać, że pozostawiły po sobie ślady w ziemi. Trzeba bowiem powiedzieć, że badając początki państwa polskiego, w pierwszym rzędzie zwrócić się musimy na teren Wielkopolski. Przecież właśnie z Wielkopolski to państwo wyszło i początki jego tutaj tylko a nie gdzie indziej mogły mieć miejsce.

— A SPRAWA GNIEZNA?

— Poruszył Pan zagadnienie dość istotne Historycy byli do tego czasu pod przemożnym wpływem legendy zapisanej u Galla Anonima opowiadającej o tym, jak to w Gnieźnie u księcia Popiela pojawili się dwaj nieznani przybysze a niedobrze przyjęci u murów grodu, zwrócili się na podgrodzie do książęcego oracza Piasta. Potomkiem tego Piasta miał być późniejszy pierwszy historyczny książę Polski, Mieszko I. Wydawało się więc zupełnie pewne, że genealogia państwa prowadzi nas w Wielkopolsce w pierwszej linii do Gniezna. W Gnieźnie też rozpoczęto prace wykopaliskowe nawet nieco wcześniej niż w Poznaniu, ale rezultat ich nawet w przybliżeniu nie dorównywał temu, jaki osiągnięty został w Poznaniu.

— CZYM TO TŁUMACZYĆ?

— Niewątpliwie tym, że ośrodek państwa piastowskiego, jeżeli nawet pierwotnie znajdował się w Gnieźnie, to rychło, w każdym razie równocześnie z przyjęciem chrztu, przeniesiony został do Poznania. I nie była to przeprowadzka doraźna. Przeciwnie. W Poznaniu poczęto budować zupełnie nowy ośrodek polityczny i religijny. Ten ostatni związany został z przyjęciem chrztu i zapewne przeciwstawiał się dawniejszemu ośrodkowi pogańskiemu w Gnieźnie. Tym też możnaby tłumaczyć tę okoliczność, że kilkadziesiąt lat później pierwsze arcybiskupstwo utworzono ze stolicą w Gnieźnie. Zapewne z tego względu, by do reszty zakryć pogańską tradycję Gniezna, a zapewne i z tej przyczyny, że wówczas już nie bano się pogańskiego oblicza Gniezna. Ta zaś obawa skłaniała przedtem do tworzenia nowego, mocnego ośrodka w Poznaniu.

— CZY NOWE WYKOPALISKA PROWADZĄ NAS NA MATERIALNY ŚLAD TYCH PROCESÓW?

— Bez wątpienia tak. Z prawdziwym wzruszeniem stwierdzamy, że wspomniani archeologowie potrafili materialnie uchwycić moment i miejsce przeobrażenia się starego środowiska. Odkryto bowiem na obszarze katedry szczątki zniwelowanego wału ziemnego, biegnącego podłużnie pod dzisiejszą nawą główną. Ceramika tego wału wskazuje na połowę wieku X. Wspomniani kierownicy badań, prof. Kępiński i mgr Józefowiczówna wyjaśnili, że ich zdaniem ów wał jest śladem dawniejszego wału podgrodzia. Gdy po przyjęciu chrześcijaństwa postanowiono postawić katedrę na podgrodziu i gdy okazało się, że na tym podgrodziu jest za mało miejsca na wzniesienie takiej budowli — zadecydowano poszerzyć podgrodzie. W tym celu zniwelowano jeden wał zewnętrzny i przesunięto go bardziej na zewnątrz, mniej więcej nie teren, na którym obecnie znajdują się szyny tramwajowe prowadzące z miasta na Śródkę. Wspomniani uczeni zwrócili uwagę również na mądry umiar w postępowaniu ówczesnych organizatorów budowli, którzy nie zniszczyli osiedli podgrodzia lecz dla nowego celu uzyskali nowe miejsce przez poszerzenie terenu podgrodzia.

— JAKĄŻ BUDOWLĘ WZNIESIONO NA TYM TERENIE?

— Historycy katedry poznańskiej określają ją mianem tzw. preromańskiej. Pokrótce kilka słów w tej sprawie. Ta katedra, którą dziś oglądamy, jest gotycką i w tym kształcie wzniesiona została w wieku XIV. Katedrę gotycką poprzedziła katedra romańska. Ślady jej odkryto na terenie katedry gotyckiej, w toku prac wykopaliskowych i restauracyjnych, prowadzonych po II wojnie światowej. Była to katedra romańska nieco mniejsza od katedry gotyckiej. Wzniesiona została prawdopodobnie w końcu XI w.

— A CO ZNAJDOWAŁO SIĘ NA TYM MIEJSCU PRZED KATEDRĄ ROMAŃSKĄ?

— Bezpośrednio przedtem teren był ruiną spowodowaną najazdem Brzetysława na Wielkopolskę w 1037 r. Notorycznym śladem tej inwazji na teren katedry był pieniążek z czasów Brzetysława, odnaleziony przez mgr Józefowiczównę na terenie kopanym na obszarze nawy głównej.

— A ŚLADEM JAKIEJ BUDOWLI BYŁA TA RUINA?

— Otóż to najciekawsze i istotne. Budowlę tę, która poprzedziła katedrę romańską, zwiemy — jak wspomniano — katedrą przedromańską. Miała ona, rzecz znamienna, kształt podłużny, a więc bazylikalny, nie była zatem budowlą okrągłą. (Znamy takie budowle okrągłe na terenie Małopolski, gdzie powstawać musiały pod wpływem sąsiednich Czech). Równie ważny jest rozmiar budowli przedromańskiej. Jest ona większa od katedry romańskiej i rozmiarem rzutu poziomego osiąga prawie rzut poziomy katedry gotyckiej. Składała się ta katedra z dwu części.

— JAKIE ONE BYŁY?

— Pierwsza i główna, to właściwy kościół, który mieścił się na terenie prezbiterium dzisiejszej katedry gotyckiej. Z kolei, ku grodowi a więc ku drzwiom dzisiejszej katedry znajdowało się atrium.

— CZY ODKRYTO W NIM ŚLAD CHRZCIELNICY?

— Tak i bardzo znaczny. Odkryto mianowicie dużych wymiarów podstawę sadzawki skonstruowaną z kamyków złączonych mocna zaprawą wapienną.

— CZY TO JUŻ WSZYSTKO?

— Odkryto jeszcze dalej w atrium resztki monumentalnego mauzoleum. Znamy takie monumentalne mauzolea, choć w niewielkiej ilości. Przypomnieć by więc można grobowiec Ottona I w Magdeburgu.

— CZYJ TO GRÓB ODKRYTO W KATEDRZE POZNAŃSKIEJ?

— Nigdy na to pytanie nie odpowiemy z całą ścisłością. Przecież jednak zbliżyć się można bardzo blisko do granicy prawdopodobieństwa. Budowa katedry przedromańskiej zamyka się w czasie pomiędzy połową X w (chronologia ceramiki zniesionego wału) a 1037 r. (data zniszczenia katedry przez najazd Brzetysława). Są to czasy panowania Mieszka I, Bolesława Chrobrego i Mieszka II. Z jedną z tych postaci związane będzie owo monumentalne mauzoleum.

— Z KTÓRĄ?

— Monumentalni władcy wznoszą monumentalne budowle W kraju periodycznie tak niszczonym jak Polska, jakże mało śladów architektonicznych po takich monumentalnych okresach naszej historii. Tym bardziej cenne jest zatem wykopalisko poznańskie, gdyż sądzimy, że jest ono śladem monumentalnej działalności Bolesława Chrobrego. Nie wszystko jeszcze o tym władcy napisano. Nie dość dobrze zdajemy sobie sprawę z tego, jak mocno wbił się w pamięć pokolenia współczesnego i pokoleń po nim najbliższych. Gdy ktoś w tych czasach lub zaraz potem zacznie pisać o Polsce, wspomni od razu Bolesława Chrobrego, Ottona III i Zjazd Gnieźnieński.

— JAKI Z TEGO WNIOSEK?

— Tej chyba treści, że odkryte mauzoleum jest śladem grobu Mieszka I. Jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że postawił ten grób ojcu Bolesław Chrobry i postawił symbolicznie przed baptisterium.

— A GRÓB CHROBREGO?

— Symbolicznie mieści się on obecnie w tzw. Złotej Kaplicy, wzniesionej sumptem Edwarda Raczyńskiego. Rzeźbiarz Rauch, który na zlecenie Raczyńskiego wykonał posąg Chrobrego, wzorował go na postaci księcia Józefa Poniatowskiego. Była to postać bliska Raczyńskiemu, a historyk doda, że książę Józef zginął pod Lipskiem w nurtach tej rzeki do której 800 lat przedtem docierały zagony Chrobrego.

— GDZIE SZUKAĆ GROBU CHROBREGO?

— Chyba w podziemiu dzisiejszego prezbiterium. Trzeba tu pilniej brać pod uwagę sposób pochowania zwłok Henryka II w katedrze w Bambergu. Pamiętać przy tym trzeba, na co ostatnio zwrócił uwagę prof. Ryszard Gansiniec, że w Polsce kult Chrobrego był bardzo wielki.

— ZNACZENIE CAŁEGO ODKRYCIA?

— Ogromne. Wielki promień światła rzucony na czasy tak bardzo przed naszym wzrokiem zakryte. Wielki wgląd w kulturę materialną tej epoki. Odkryty ślad znacznego rozwarstwienia społecznego, co było warunkiem powstania ówczesnego państwa.

— CO UCZYNIĆ Z ODKRYTYMI ZABYTKAMI?

— Za wszelką cenę je zabezpieczyć i zachować. Obecność zaraz po odkryciu w Poznaniu tak znakomitych fachowców, jak członek Akademii prof. Cebertowicz, napawa nadzieją, że uczynione będzie wszystko, aby zabezpieczyć odsłonięty obraz minionej monumentalnej epoki. O tym zaś, że tego można dokonać, świadczy znakomite zabezpieczenie analogicznych odkryć w podziemiach Hradczan w Pradze czeskiej. Coś podobnego powinno powstać i w Poznaniu.

Rozmowę przeprowadził:

TADEUSZ JANKOWSKI

„FIRCYK" SIĘ NIE STARZEJE

Wystawienie „Fircyka w zalotach" stało się pewnego rodzaju wydarzeniem teatralnym Londynu. Niestety, tak przywykliśmy do sztuk słabych, nieciekawych, robionych i wystawianych pod domniemany gust publiczności, że każda dobra, prawdziwa sztuka teatralna budzi dużą radość i nadzieję (może, niestety tylko nadzieję), że coś w teatrze polskim zmienia się na lepsze.

Aktorzy są przywiązani do sztuk, w których kiedyś z powodzeniem kreowali role. Wojciech Wojtecki grał w Polsce z powodzeniem Fircyka i Przełęckiego i temu poniekąd zawdzięczamy zapewne, że zobaczyliśmy tu i „Przepióreczkę" i „Fircyka w zalotach". Inscenizacje obu sztuk powtarzały dość wiernie adaptacje sceniczne dwudziestolecia, nie szukały nowych dróg. O ile utwór Żeromskiego wydaje się wymagać nowej formy teatralnej, nowego oświetlenia, które zbliżyłoby sztukę do widowni naszych czasów, o tyle „Fircyk w zalotach", który powstał w latach osiemdziesiątych wieku osiemnastego, jest ciągle świeży i chwyta publiczność w przedwojennej wersji scenicznej. Widz nie odczuwa potrzeby przesunięcia tradycyjnych akcentów sztuki.

Warto się chwilę zastanowić nad Zabłockim i jego sztuką. Wszyscy wiemy z historii literatury, że komedie swe przerabiał ten główny dostawca sztuk dla teatru warszawskiego z utworów obcych, przeważnie francuskich komediopisarzy, zwykle do pięt mu nie sięgających. Kto pamięta dziś „Modnisia zakochanego" Romagnesi'ego? Tylko ci co interesują się polskim wiekiem Oświecenia. Dlaczego? Po prostu dlatego, że sztuka ta była pierwowzorem naszego „Fircyka". Pierwowzorem, który dopiero pod ręką Zabłockiego nabrał rumieńców życia i przemienił się w arcydzieło.

Zabłocki był przede wszystkim satyrykiem i tak, jak cała literatura epoki Sejmu Czteroletniego służył swoją satyrą ojczyźnie. W zjadliwych a dowcipnych wierszach ulotnych piętnował zacofańców, głupców politycznych i zdrajców. Satyrykiem jest i w swoich komediach. Jako „pisarza społecznie użytecznego", jako pisarza, którego dzieła są „doskonałą dokumentacją swoich czasów". wystawia się dziś chętnie Zabłockiego w Kraju, wyciągając na światło dzienne niektóre dawno już nie grane jego komedie, jak np niesłusznie zapomnianego „Zabobonnika". A ponieważ inscenizacja teatralna według obowiązujących w Kraju kanonów ma dać sztukę „osadzoną wyraźnie w rzeczywistości historycznej i społecznej", realistycznie ukazującą stosunki w danym kraju i danych czasach, motywującą „wyraźnie" sytuacje i charaktery, więc punktuje się — ile wlezie — treść satyryczną utworów, nie wyłączając i „Fircyka", którego główne postacie pokazać mają — zdaniem dzisiejszych inscenizatorów — pustotę i nieprzydatność społeczną szlachty tego okresu.

Przywykliśmy do innego wyrazu teatralnego „Fircyka" — zdaniem moim i prawdopodobnie prawie wszystkich, co znają sztukę — dużo słuszniejszego. Po prostu Zabłocki w tym utworze przełamał dotychczasowy szablon satyry polskiej, która od „Krótkiej rozprawy" Reja przyzwyczaiła Polaków, że każdy opisywany delikwent musi być albo zupełnie dobry albo zupełnie podły, albo bardzo mądry, albo kompletnie głupi. W „Fircyku" poniósł Zabłockiego temperament urodzonego artysty. Spuścił trochę z moralizatorskiego tonu i dlatego dał świetną komedię.

I tu mam parę zastrzeżeń do pięknej zresztą kreacji aktorskiej Wojciecha Wojteckiego. Jego Fircyk doskonale zagrany, konsekwentny w tonie, ruchu i geście nie robi wrażenia lekkomyślnego, ale bardzo miłego szaławiły — choć do takiej interpretacji roli upoważnia tekst sztuki. Jest to wyraźnie cyniczny „złoty młodzieniec", kuty na cztery nogi, tak mało maskujący się, że aż dziwimy się Podstolinie, że wierzy w oświadczyny jego miłości i bierze słowa jego za dobrą monetę. To ponoć taka rozumna pani... Zresztą kto wie?... może tak bardzo zakochana, że ślepa. W każdym razie takie postawienie roli musiało pociągnąć za sobą przesunięcie pewnych akcentów w roli Podstoliny, a skoro to nie zostało zrobione, widz jest chwilami trochę zdezorientowany. Pewne przeciąganie ostatnich sylab wiersza przez pana Wojteckiego (za nim, jak za panią matką, niestety powtarza to świetnym słuchem obdarzony Wacław Krajewski) męczyło mnie trochę, szczególnie w pierwszym akcie, póki nie przywykłem. Zresztą mimo tych uwag nikt chyba nie wątpi, że Fircyk pana Wojteckiego — to kreacja aktorska z najlepszego teatralnego zdarzenia.

Podstolina Romany Pawłowskiej jest świetna. Wielka kultura aktorska, znakomite wyczucie stylu epoki, umiejętność noszenia kostiumu, każdy ruch, każdy gest pozwoliły Pawłowskiej stworzyć prawdziwą damę polskiego rokoko. A wiersz! Jak mówi wiersz! Jak lekko, jak wspaniale rozkłada akcenty, jak frazuje! W czasie którejś z przerw zastanawiałem się usilnie, kogo mi przypomina sposób mówienia wiersza przez panią Pawłowską. To był ktoś bardzo dla mnie drogi, aktor, którego pamiętałem od dziecka, od pierwszych wypadów do teatru. Tak, to był Stanisław Stanisławski, mistrz polskiej stylowej komedii, nieporównany odtwórca Fredry, śpiący dziś cicho na warszawskim cmentarzu. Nie jestem sentymentalny i nie lubię się bawić we wspominki, ale naprawdę przez moment zobaczyłem moje rodzinne miasto, biały gmach teatru i pomnik tego, który był przyjacielem serdecznym Zabłockiego, ojcem polskiego teatru i ojcem duchowym zarówno Fredry, Bałuckiego i Zapolskiej, jak Frenkla Stanisławskiego i Romany Pawłowskiej. Nie często zdarza się chwila tak serdecznej zadumy.

Radość pana Stanisława Szpiganowicza był też rolą z prawdziwego aktorskiego zdarzenia. Bardzo dobry w ruchu i geście, doskonale nosił kostium, konsekwentnie prowadził postać przez całą sztukę. Niepotrzebnie tylko nadużywał głosu i momentami dość wyraźnie przegrywał (np. wyraźnie zrobione oko do publiczności). Trochę więcej umiaru wydobyłoby dokładniej i tak silnie w tekście zaakcentowaną charakterystyczność tej roli.

O trójce pozostałych wykonawców sztuki dałoby się dużo powiedzieć — a miejsca niewiele. Więc streszczając się: uważam pana Krajewskiego za wprost predestynowanego do roli Świstaka. Jego Świstak w drugim i trzecim akcie, gdy młody aktor rozegrał się trochę, był świetnym, w miarę bezczelnym sługusem, sprytnym obibokiem, który zawsze stara się porwać coś dla siebie. Wzorów do tego rodzaju postaci mamy masę, choćby we wszystkich komediach Moliera i pan Krajewski rozumiał dobrze, o co w roli chodzi. Mam mu tylko za złe pierwszą scenę I-go aktu, rozegraną słabo i bez nerwu, niedoskonałe opanowanie sztuki mówienia wiersza, co powoduje, że przy swojej muzykalności wpada p Krajewski natychmiast w sposób mówienia partnera i skutkiem tego daje doskonałą scenę z Podstoliną, a nie potrafi sobie radzić z wierszem w scenach rozegranych z panem Ratschką. Niepotrzebna też zbytnia taneczność ruchów, momentami aż niebezpieczna na tak małej scenie i trochę nieodpowiednia do dość masywnej budowy p. Krajewskiego Wiem, że o to powinien mieć pretensję raczej do reżysera, choć jeden z krytyków wpadł z tego powodu w zachwyt dopatrując się w zbyt obfitych i szarmanckich ruchach aktorów wpływu ...baletu Jossa!

Gorzej wypadła rola pana Ratschki, aktora, którego lubię i szanuję, ale który we wszystkich swych rolach zaczyna ostatnio być nużąco podobny do siebie. I ruchy te same i gierki i mimika i ten sam, ciągle nieopanowany przez aktora lwowski akcent.

Klaryssę grała pani Krystyna Dygatówna. Młoda ta aktorka wyraźnie nie umie nosić kostiumu stylowego, nie umie się w nim poruszać, stąd mnóstwo niepotrzebnych, nerwowych ruchów rękami, głową, najniepotrzebniejszych skrętów tułowiem, słowem zupełnie niepotrzebna, niezwiązana z typem roli ani z kostiumem ruchliwość. Domyślam się, co to jest dla młodej aktorki grać w stylowym kostiumie i dlatego sygnalizuję — trzeba pracować nad stroną ruchową takich ról. Drugi mój zarzut jest poważniejszy — dotyczy głosu p. Dygatówny, który jest źle postawiony i wskutek tego chwilami piskliwy. Obawiam się, że jeśli p. Dygatówna nie poprawi swych warunków głosowych, to będzie miała utrudnioną drogę sceniczną. To dziwne, ale wszystkie trzy wychowanki angielskiej szkoły dramatycznej, panie: Dygatówna, Katelbachówna i Ostrowska mają źle postawione głosy, których timbre nuży słuchacza już po kilkunastu minutach. Uważam p. Dygatównę za bardzo zdolną aktorkę zwłaszcza po jej roli w „Madame X-ow" i jeśli piszę te krytyczne uwagi, to naprawdę ze szczerej życzliwości.

Reżyseria dużo lepsza, niż we wszystkich poprzednich sztukach wystawianych przez Teatr Aktora. Trochę mam pretensji o ustawiczne wyciąganie aktorów na proscenium i o zamazaną sytuacyjnie scenę w ostatnim akcie (Fircyk, Podstolina i Świstak.)

Dekoracje przyjemne, jasne, prostymi środkami dość dobrze trafiające w ducha polskiego rokoko — nie podobała mi się tylko niefortunnie umieszczona figurka. Niestety, z dekoracjami zupełnie nie grały kostiumy — niebieski frak pana Szpiganowicza wtapiał się w bladoniebieską ścianę, a krynolina pani Pawłowskiej jak na złość stale zlewała się z różową ścianą. Czy naprawdę nie można było tego rozwiązać jakoś inaczej? Przedstawienie jest tak dobre, że chciałoby się by było doskonałe. (Sp.)

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

WYZNANIA BERTRANDA RUSSELLA. „Reflections on My Eightieth Birhday" — oto tytuł prelekcji radiowej o charakterze osobistym, jaką sędziwy filozof angielski wygłosił z okazji ukończenia 80 lat życia. Russell jest znanym agnostykiem i przeciwnikiem wszelkiego zorganizowanego życia religijnego.

„Od wieku chłopięcego — stwierdza Russell — to, co możnaby nazwać poważną stroną mojego życia, poświęcone było dwóm celom... Z jednej strony pragnąłem przekonać się, czy człowiek zdolny jest wiedzieć cokolwiek na pewno i co tylko jest możliwe w kierunku stworzenia szczęśliwszego niż obecny świata"

U kresu życia Russell przyznaje się do niepowodzenia w obu tych dziedzinach.

„Do trzydziestego ósmego roku życia — mówił — poświęcałem swą energię głównie pierwszemu z tych zadań. Dręczył mnie sceptycyzm i mimo woli dochodziłem do konkluzji że wszystko to, co uchodzi za wiedzę, może być przedmiotem usprawiedliwionych wątpliwości (reasonable doubt). Pragnąłem uzyskać pewność tego rodzaju, jaką ludzie pragną znaleźć w wierze religijnej. Sądziłem, że większe jest prawdopodobieństwo uzyskania takiej pewności w matematyce, niż w jakiejkolwiek innej dziedzinie. Przekonałem się jednak, że wiele dowodzeń matematycznych, które chcieli mi wpoić moi nauczyciele, obfituje w fałsze (fallacies) — i że jeśli w ogóle możliwe jest uzyskanie pewności w matematyce, to musiałby to być nowy rodzaj matematyki z podstawami solidniejszymi od tych jakie dotąd uchodziły za niewzruszone. W miarę jednak postępów pracy ciągle mi przychodziła na myśl bajka o słoniu i żółwiu. Skonstruowawszy słonia, na którym miał spoczywać świat matematyki, stwierdziłem, że słoń ten się chwieje, wobec czego przystąpiłem do konstruowania żółwia, który by powstrzymał słonia od upadku. Żółw ten jednak wcale nie był bardziej niewzruszony od słonia — oto po dwudziestu latach bardzo wytężonej pracy i wysiłków doszedłem do wniosku, że niczego już więcej dokonać nie mogę w kierunku uczynienia wiedzy matematycznej czymś nie ulegającym wątpliwości".

Przyszedł potem okres pierwszej wojny światowej, od którego datuje się działalność społeczno-polityczna Russella na szerszą skalę. I tu jednak stwierdza, że idee, którym hołdował on i tylu współczesnych mu ludzi, zawiodły i że rozwój wydarzeń poszedł w innym kierunku.

W zakończeniu jednak Russell daje wyraz optymizmowi, który z jego punktu widzenia wydawać się może mało uzasadniony. „Być może, — mówił — iż pojmowałem mylnie prawdę teoretyczną, ale nie myliłem się myśląc, że taka rzecz istnieje i że winniśmy jej posłuszeństwo (allegiance). Mogłem także sądzić, że droga do świata ludzi wolnych i szczęśliwych jest krótsza, niż to się potem okazało, ale nie myliłem się mniemając, że świat taki jest możliwy..."

I my tak myślimy. Sądzimy jednak, że drogi, wiodące do obu tych celów, będą istotnie bardzo odległe od tych, jakie Russell wskazywał w swych pismach, choć jego gorliwość w szukaniu prawdy niewątpliwie zasługuje na szacunek.

FRANCUSKA „NAGRODA KRYTYKÓW". Tak zwaną „nagrodę krytyków", ustanowioną w r. 1945 i wynoszącą 100.000 franków, otrzymał w tym roku Georges Borgeaud, Szwajcar z pochodzenia, liczący obecnie lat 35, za powieść pt. „Szkolny dziedziniec".

W skład jury wchodzą najwybitniejsi krytycy francuscy, m.in. Emil Henriot, członek Akademii Franscuskiej, Gabriel Marcel, Jean Blanzat z „Figaro Littéraire", Robert Kemp z „Nouvelles Littéraires".

Po raz pierwszy otrzymał „nagrodę krytyków" w r. 1945 Romain Gary za powieść „Wychowanie europejskie", której tłem jest polski ruch podziemny na Wileńszczyźnie podczas ubiegłej wojny. Tak się złożyło, że i następna „nagroda krytyków" przyznana została za powieść (lepszą zresztą od powieści Gary'ego) o Polsce podziemnej. Powieścią tą było „Życie umarłych" pióra pani Agnes Chabrier, znanej przyjaciółki Polaków.

NASTĘPCA MARSZ. PETAINA W AKADEMII FRANCUSKIEJ. Na miejsce, opróżnione w Akademii Francuskiej przez zgon marszałka Pétaina, wybrany został w dniu 15 maja André François-Poncet, znany dziennikarz i dyplomata francuski, od połowy 1949 r. Wysoki Komisarz Francuski w Niemczech zachodnich.

François-Poncet, liczący obecnie 65 lat, napisał w młodości książkę o Goethem, później zaś parę książek politycznych. Był pierwszym ambasadorem Francji w Berlinie po pierwszej wojnie światowej, później zaś ambasadorem w Rzymie. W czasie wojny więziony był przez Niemców.

Poprzednikiem Pétaina na tym samym fotelu, na którym zasiadł dziś François-Poncet, był marszałek Foch.

ZAKAZANA SZTUKA KOMUNISTYCZNA. W „Ambigu", jednym z małych teatrów paryskich, odbyła się premiera antyamerykańskiej sztuki „Le Colonel Foster plaidera coupable", napisanej przez pisarza komunistycznego Roger Vaillanda. Na jednym z pierwszych przedstawień doszło do gwałtownych demonstracji przeciw tej sztuce; demonstranci wdarli się na scenę i wyrzucili z niej aktorów. Doszło do ostrej bójki między nimi a strażą porządkową komunistyczną — bójki, którą zlikwidowała dopiero policja.

W wyniku tych zajść prefektura policji w Paryżu zakazała dalszego wystawiania sztuki.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

USTRÓJ SPOŁECZNY I SZTUKA

Na posiedzeniu „English Association", organizacji, której celem jest pielęgnowanie kultury angielskiej i która ma charakter raczej konserwatywny, prezes jej, znany historyk A. L. Rowse wygłosił odczyt, który niewątpliwie spotka się z ostrą repliką w kołach socjalistycznych.

Rowse nawiązał do okresu elżbietańskiego, który pełen był energii twórczej we wszystkich dziedzinach. Był to okres, w którym potrafiono cenić talent i wytężoną pracę, co wpłynęło bardzo pobudzająco na ambicję ludzką. Nie próbowano wszystkiego dostosowywać do jednostajnej przeciętnej; ludzie ery elżbietańskiej cenili jakość zarówno tych rzeczy, jakie wytwarzali swymi rękami, jak i rzeczy ze świata myśli.

W przeciwieństwie do tego, zdaniem Rowse'a, warunki intelektualne i duchowe obecnego okresu nie sprzyjają rozkwitowi wielkiej twórczości, niektóre zaś z nich działają nań hamująco. Rowse uważa przede wszystkim, że za dużo jest w Anglii manii krytykowania wszystkiego, zarówno w literaturze, jak sztuce i muzyce. W dziedzinie politycznej intelektualiści lewicowi oczerniają całą przeszłość Anglii, jej instytucje, Imperium Brytyjskie, panowanie brytyjskie w Indiach Krytyka ta, zdaniem Rowse'a, jest w wielkiej mierze niesłuszna i wyrządziła Anglii ogromne szkody.

Rowse oświadczył następnie, że nie chce dyskutować zagadnienia równości społecznej, ale że zbyt skrajne jej stosowanie nie jest korzystne dla sztuki. Sztuka potrzebuje — jako inspiracji i jako swego przedmiotu — różnorodności, barwy, bogactwa, kontrastów, rozmaitości społecznej, ruchu, wypoczynku wysokich probierzy poziomu kulturalnego.

„Nie jest bez znaczenia, — mówił Rowse — że najlepsi pisarze współcześni: Elliot i Sitwellowie, Graham Greene i Evelyn Waugh, John Betjeman, Martyn Skinner, David Cecil i tylu innych nienawidzą nowego porządku społecznego. Nawet p. Priestley, jak się zdaje, zmienił swe dotychczasowe stanowisko wobec niego na negatywne".

Dosyć niespodziewanie po tych ubolewaniach Rowse zaczął następnie wychwalać obecną twórczość angielską w dziedzinie malarstwa i muzyki. „Jak zwykle — zauważył — jesteśmy lepsi w praktyce, niż w teorii Biorąc pod uwagę całość naszej twórczości kulturalnej, trzeba stwierdzić, że kraj nasz spisuje się pod tym względem lepiej od któregokolwiek innego, być może z wyjątkiem Francji".

RÓŻNICA MIĘDZY AKTORAMI FRANCUSKIMI I ANGIELSKIMI

Krytyk teatralny „Sunday Times" Harold Hobson omawia różnicę w sposobie gry aktorów francuskich i angielskich.

„Aktorzy francuscy tacy, jak Jean-Louis Barrault czy Pierre Brasseur — pisze Hobson — nie są w swej grze naturalni, w każdym razie nie w angielskim rozumieniu tego słowa i nigdy nie ściszają swych głosów. Głosy ich są instrumentami muzycznymi, na których grają z nieustannym wirtuozostwem; gotowi są poświęcić wszystkie te efekty przekonywującej gry aktorskiej, z których teatr angielski jest tak dumny, byle tylko osiągnąć właściwe dźwięki, które równocześnie zachwycają i podniecają zmysły oraz uwydatniają intencje autora sztuki".

Różnica w emfazie, zachodząca między aktorami francuskimi a angielskimi, ma zdaniem Hobsona, różne przyczyny, główną z nich jednak jest większy respekt, jaki się w Paryżu okazuje autorom. W Anglii natomiast przykłada się bardzo mało uwagi do tekstu sztuki, czego przykładem może być sposób, w jaki wystawiono „Colombe" Anouilka w londyńskim New Theatre. Tłumaczy się to częściowo okolicznością, że we Francji teatr dysponuje tekstami godnymi respektu; Francja jest krajem zdolnych dramaturgów.

Mimo to wszystko Hobson zdaje się przedkładać angielski sposób gry nad francuski.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1, w t e k ś c i e 50 proc. drożej, na stronie t y t u ł o w e j 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowska, 15 rue Godfroid de Bouillon, Bruxelles 3 — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Shiphhorst 2. i St. Mikiciuk (13 B) München 54, Seehamerstr. 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2$., pocztą lotniczą 5$. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N. J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue, Detroit 7, Michigan, 4) St. Palesowski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734